

I.314.468



nie jako teraz jest miż czas a toż się rozstać
 — Zegnam się, Kochany mój, ale jeszcze
 jedno prośba, przyjdź odebrać tu piankę
 którą pal z ręką i ponownie nieś do domu
 — Wskazywać, że to ty kupiłeś
 Dnia i dnia (mieszkanie) więc teraz o ten
 — a nie bezsens (podobnie) wożąc
 przedmiotem, właśnie i ja dla ciebie pacior-
 ki przygotowałam. Choć wyższy nie lubię
 na nich chwalić Allaha, no ale będzie sobie
 — i temu czas przepędzić. Może się jeszcze kiedyś
 zobaczyć, a teraz bądź zdrow i wesoły. Niech
 Twój drogi kielich wiodnie ci spiesznie
 — w tożach radości i troski.

SKICE
 KAWKAZU

SZKICE

KAWKAZU.

SZKICE
UŁAŻDZA

SZKICE
KAUKAZU

MICHAŁA
BUTOWDA-ANDRZEYKOWICZA.

TOM II.

WARSZAWA.

W Drukarni Jana Psurskiego,
przy ulicy Aleksandra, N. 2768, lit. B.

1859.

SECRET
K A U K A Z U

МІХАІЛ

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy.

Wiano, dnia 18 Października 1858 roku.

Cenzor, Paweł Kukoluik.

ТОМ II

ВАРШАВА

W Drukarni Łukasza Żelazki w Warszawie, N. 2102, H. 11.

1858

Paraz za Derbentem znowu się odda-
lamy od brzegów morza, i kroczy-
my ku zachodowi. Droga nierówna, węży-
kowata, miejscami wznęzista, słońce
jasno świeci, i dzień taki gorący, jak u nas
w Czerwcu, chociaż to było 24 Kwietnia
(6 Maja). Błyszcą karabiny, jaśnieją armaty;
patrzac na ten oddział w gzygzakach wznęz-
stej drogi zdaje się że to najeżony olbrzymi
wąż, roztworzył paszczę, wije się i szuka zdo-
byczy. Morze, to całkiem zastawia się wznę-
zami, okrytemi zielonemi krzaki i drzewy, to
znowu ukazuje szyby błękitu, na których zblą-
1

kany jakiś statek, z rozpuszczonemi żaglami, jak labędź na słońcu się grzeje.

Welykent, Kajakent, Buinak, Karabudakent i Gilli, tak się nazywają auły, leżące na drodze do Temir-Chan-Szury, w których nasz oddział miał już dniówki, już noclegi. Dwa pierwsze należą jeszcze do Derbenckiej prowincyi, a inne trzy są już w posiadłościach Szamchala.

Między byłemi Chaństwami (które już widzieliśmy), i Szamchalstwem, jest dobitna we wszystkim różnica. Tu więcej zajmują się rolnictwem, więcej trzód można zobaczyć, mieszkańcy są zamożniejsi, domki ich czystutkie wewnątrz i zewnątrz starannie wybielone, i wcale przyzwoite w porównaniu z ziemlankami, lub z temi szaremi z nieociosanych kamieni sakłami cośmy od samego Tyflisu aż dotąd po kaulach widzieli. Język mieszkańców zawsze jest narzecza Tiurk, ale już chrapowatszy i nie taki dzwięczny. Fizjognomije również mają coś w sobie grubszego i nieociosanszego, co się staje coraz wybitniejszem, im bardziej się ku większym gor. tancuchom zbliżamy. Odzienie mężczyzn zawsze jeszcze takie same, ale już prostsze i nie tak wykwintnego kroju, jak w Chaństwach.

Gdzieniegdzie pokazują się i czerkieski dość prostej roboty, a czapki już nie tak spiczaste, zakrawają na Góralskie. W Szamchalstwie większe już widać upodobanie do broni, na nabijanym pasku długi kindżał musi wisieć nieodstępnie przy boku. Kobiety jeszcze mniej wymyślne w swych strojach, zasłony tylko używają na jakos uroczystosc, lub kiedy się puszczają w drogę; a w domu i na ulicy, zazwyczaj można je zobaczyć w jednych tylko tumanach, najczęściej czerwonych lub niebieskich, z wierzchu których mają białe lub niebieskie za kolana długie koszule.

W Szamasze nie raz zdarzało mi się zdybywać Muzulmanki, niedosć że okutane w zasłony, ale jeszcze w jakichś złocistych siatkach całą twarz zakrywających, a Szamchalskie damy, nie tylko że zasłon nie lubią, ale strasznie jakies rozpasane w tym swoim negliżu. Ubiory charakteryzują w każdym kraju pojęcia o przyzwoitości ale nietylko na Kaukazie, lecz i na całym Wschodzie dziwnie to się jakos poplątało. W Egipcie, żony Fellachów zakrywają sobie twarze, a chodzą w jednych tylko niebieskich koszulach. W Indostanie taki zwyczaj że

Bajaderki najstaranniej muszą zakrywać piersi, a Indyjskim arystokratkom zabraniają bywać u dworu Raja, jeżeli nie są wygorsowane. Birmani nie noszą spodni, powiadają że to rzecz bardzo nie przyzwoita, ale za to malują sobie nogi, — proszę tu dość ładu. Co kraj to obyczaj, co kraj to nowe pojęcie o przyzwoitości.

Karabudakent uderza swoją miejscowością, ogromny aul, cały rozsypany już na górze, już w dolinie, a wszędzie ogrody, w których zielenie mnóstwo ogromnych orzechów, dorodnych drzew owocowych, z po za których, ukazują się białutkie czyściutkie domki. Z prawej strony na górze sterczą ruiny jakiegoś zamku, wznosi czarny poważny minaret, wszędzie mnóstwo topoli, całe grupy pięknych wyniosłych drzew.

Z lewej strony, zaczyna się w dolinie, a kończy się na wzgórzu, ogromny cmentarz, koło którego znowu mnóstwo najpiękniejszych topoli, — a za niemi w głąb pod górą ogromna cudowna kaskada, która wśród zieleności daleko rozrzuca swe brylantowe bryzgi.

W Gilli, gdzie miejscowość nie ma szczególnego, byłem świadkiem pociesznej zabawy,

byłem na *Toju* *), które (już sam nie wiem), był wyprawionym z powodu przybycia oddziału, a może tylko z powodu chętki wypicia naszego konta.

W ogromnym domu, jak zazwyczaj w Szamchalstwie składającym się z jednego tylko pokoju, znaleźliśmy zebranych mnóstwo gości, przystrojonych w świąteczne suknie. Kobiety były bez zasłon, smugle i świeże ich twarzyczki pięknie odbijały od białych ścian. Wszystkie co do jednej ubrane były w materialne suknie, lub w takież kacawejki. Wprawdzie stroje te były najczęściej jakiegoś dzikiego nieodgadnionego koloru, ale Szamchalka na tak świetne zgromadzenie, musi zawsze wystąpić choć w wypłowiałych, byleby tylko w jedwabnych szmatach. I męskie ubiory nie mniej okazywały pretensyi, ale również nieszczęśliwie wyglądały. Tu widać było nowy materialny archałuch, obszyty jakimś strzępkami zabrudzonych galonów. Tam na czerkiesce błyszczało dwa lub trzy srebrne ładunki, między rzędami takichże koscia-

*) *Toj*, wieczór, bal na którym tańczą, i eborani improwizują śpiewy.

nych. Tam czucha z obszarpanym rękawem, ale za to na głowie jaka ładna kosmata czapka, jakrzęsto obszyta galonem. Tu znowu wyszarzaną czerkieską ścisłał pasek nabijany ładnymi srebrnymi guzikami. Słowem wielki nieład w strojach.

Kobiety zajęły lewą stronę pokoju, i tak się uszykowały, że młodsze i przystojniejsze stały na przodzie, brzydsze tuż za nimi, a stare w samym kącie.

Mężczyźni stali z prawej strony, w tyle siwi i pogarbieni starcy, a im bardziej naprzód, tem młodszy, tem przystojniejszy, tak że na samem czelu, widać było, i Kaukaską giętką kibicę, i dziką ale piękną twarz nie jednego urodziwego młodziana.

Najprzód miały się zacząć choralne śpiewy, kobiety w pół głosu porozumiewały się między sobą, bo zaraz miały prawą stronę wyzwać do walki. Widać, że stojąca na czelu miała przewagę, bo wszystkie się do niej zwracały. Możemy więc a priori nazwać ją Gillińską Safą; bo i z przenikliwych oczu, i z wysokiego czoła, i z brwi imponujących, łatwo było wyczytać, że przywykła rej wodzić i uchodzić za mądrą.

Safa mogła mieć lat dwadzieścia pięć, a może i więcej, nie była piękną, ale miała w sobie coś wspaniałego. Cały jej strój był czarnego koloru, miała nawet czarną zasłonę, którą nie zakrywała twarzy, ale rozmaicie na siebie zarzucała; — tak że ta czarna draperja podnosiła poniekąd jej wdzięki.

Wypiszę tu treść tych śpiewów, ile mi się udało zatrzymać je w pamięci. Trzeba wiedzieć że wszystkie śpiewy były improwizowane prozą, czasem się tylko zdarzały rymowane zwrotki, które natychmiast cały chór powtarzał.

Safa. Na wiosnę rośnie trawka, lecą ptaszki, ciągną i Ruscy w góry złych ludzi szturmować. A wy żaki, Nieboraki, Jako tchórze, Wiecznie w dziurze.

Chór kobiet. A wy żaki, Nieboraki, Jako tchórze, Wiecznie w dziurze.

Safa. Na wiosnę wilk i niedźwiedź rzęca Barlog, nawet orły tam wysoko, ciągną w różne szlaki. A wy żaki, Nieboraki, Jako tchórze, Wiecznie w dziurze.

Chór kobiet. A wy żaki, Nieboraki, Jako tchórze, Wiecznie w dziurze.

Gladiator. Przyjdzie czas, a wyruszymy,

wszystkie góry krwią zbroczymy. Niechaj dzisiaj inni idą, a my później zawitamy; — ładne dziewczyny nasze, nam tu dobrze z wami. Od Dzemila, od Górali, dłoń Gillinca was ocali.

Chór mężczyzn. Od Dzemila, od Górali, dłoń Gillinca was ocali.

Gladiator. Bo i w górach pamięć mają, i Gillinców znają dobrze. Tutaj jeden na stu stanie, wie sam Allah, wszyscy wiedzą, że tu tylko są Dzygity. Od Dzemila, od Górali, dłoń Gillinca was ocali.

Chór mężczyzn. Od Dzemila, od Górali, dłoń Gillinca was ocali.

Safó. Jedną razą mól małeńki, ubrał się w skórę tygrysa, i wyruszył w knieje/dzikie. W tem zaszumiały gałęzie, mól ze strachu padł na ziemię. Oj ostrożnie Dzygitowie, Bo każdemu miłe zdrowie.

Chór kobiet. Oj ostrożnie Dzygitowie, Bo każdemu miłe zdrowie.

Safó. Lepiej siedźcie w doniu, prządcie wełnę, róbcie sukna z tego sukna my wykroimi wiele latek *), i naszyjem wam na plecy; — za-

*) Aluzja do latek, które Dzemil każe Góralom naszywać za ichórzostwo.

wszczęć taki ciepłej będzie. Oj ostrożnie Dzygitowie, Bo każdemu miłe zdrowie.

Chór kobiet. Oj ostrożnie Dzygitowie, Bo każdemu miłe zdrowie.

Gladiator. Rozumiemy doskonale jak pojmować wasze rady, lub wypędzić nas z tąd chcecie lub nas zająć robotami. Podobal się Urus tegi, Więc Szamchalcy to ciemięgi.

Chór mężczyzn. Podobal się Urus tegi, Więc Szamchalcy to ciemięgi.

Gladiator. I my lubim naszych kunaków *), i bardzo radzi w naszym domu, — a że Bady (siostry) was kochają, macie dowód, i w ich oczach, i w ich pieśniach. Podobal się Urus tegi, Więc Szamchalcy to ciemięgi.

Chór mężczyzn. Podobal się Urus tegi, Więc Szamchalcy to ciemięgi.

Z tych spiewów widocznie się okazało, że Szamchalcy nie wielcy rygoryści, bo u Mahometan poczytuje się za wielką zniewagę, jeśli Chrześcianin wspomina o ich żonach i siostrach,

*) Kunak, gość, ten co jadł i pił razem z Góralem. Kunak jest zawsze pod protekcją swego gospodarza chociażby był Chrześcianinem.

lub zapytuje się o ich zdrowie, a tutaj sami szeroko się o nich rozgadali. Od wódki i wina żaden z przytomnych się nie wymówił, a nawet i starsze kobiety zapominały o Proroku, i dosyć zgrabnie wychylały szklaneczki. *Tyj* długo się ciągnął, śpiewy przeplatały się tańcami, w których już to kobiety, już mężczyźni pojedynczo występowali. Później zabawiło nas dwóch staruszków razem tańczących lezginkę, jeden z nich był kulawy, a drugi bez ręki. Pod koniec Safo znowu wystąpiła z różnemi improwizacjami w wiązanej i niewiązanej mowie, i nam, rycerzom północy, życzyła powodzenia oręża w górach, i szczęścia w domu!

szły i drzew; do to są nadto pewne, że tutaj
 Kowom w tej chwili wpływ na charakter
 a nawet i niepodobnie mieszkancom. Należy
 się to łatwo nie daje zauważyć, jak na Kauk
 nie Caspokość obok bitnych Górali, widzia
 moxin nie tu towinia, co górnice białe
 czy umodali zupełnie nieważni. Obo
 cząpach ch białe, ktorami i postać mieszka
 row dzwicie białozłoty, lat
 ców w niepowodnym wowie.

II

Przeszedłszy malenki i ładny Muslim-
 Aul, upiększony porozrzucanemi topola-
 mi, już i Temir-Chan-Szura widnieje na
 zupełnie równem miejscu, otoczona do
 kola, w dość znacznej odległości, to wzgó-
 rzami, to ukazującemi się pasmami wyższych
 gór. Cała okolica ładna i dzika, zupełnie w stylu
 Kaukazkim.

Im dalej wzrok sięgnie, tem dzikszymi pejzaż
 dostrzeżę. Od razu się przeczuwa, że sąsiedzi
 Szury, co się rodzili i rośli w tych miejscach,
 muszą być przejęci tą szorstką przyrodą. Muszą
 być śmiali, jak śmiało rzucone są góry, na które
 codziennie spoglądają. Muszą być bystrzy, rapto-
 wni najeźdźnicy, jak te ich potoki, co unoszą

skąły i drzewa; bo to aż nadto pewne, że miejscowość wywiera zawsze wpływ na charakter, a nawet i fizjognomje mieszkańców. Nigdzie się to łatwiej nie daje zauważyć, jak na Kaukazie. Często obok bitnych Górali, widzieć można tuż na równinie (szczególnie bezleśnej) cały narodził zupełnie zniewieściały. Obok czarujących miejsc, z któremi i postać mieszkańców dziwnie harmonizuje, łatwo znaleźć za rzeczką, w niepowabnym wąwozie, i twarze nieociosane, i kibić nie giętka. Obejrząwszy się do koła w Dagestańskich zaściankach, łatwo się domyślić, że w nich przebywają te wojownicze plemiona, tak zawsze mężnie opierające się nieproszonym Giaurom, ciekawie zaglądającym do ich wąwozów.

¶ Nie dochodząc do Szury, z prawej strony błyszczą dwa małe jeziora, za któremi sterczą dwa, czy trzy pagórki, blisko przysunięte, i przypatrujące się swym nagim zielonym garbom. A dalej na spadziem wzgórzu, wznosi się biały pomnik jakiegoś zabitego oficera.

¶ Im bardziej zbliżamy się do miasteczka, tem mniej możemy mu się przypatrzeć, bo oprócz dwupiętrowych sklepów, mało bardzo widać

wielkich budynków. Po nad gromadą uszykowanych w ulice domów i domków, na obszer-nym placu, bieleje kościół katolicki, pokryty czerwonym dachem na którym się wznosi ciemny, melancholiczny krzyż. Z wielką, niewypowiedzianą rokoszą, wzrok znużony dzikością zatrzymuje się na tem godle wiary, i długo oko nie może się oderwać od tej prostej, ale rzewnej budowy, wyrażającej wiele tęsknoty w swej formie, i otoczonej rzędami posępnych zielonych topoli.

Zatrzymałem się około otwartych wrót miasteczka, przy których stał szyldwach, i nie wpuszczał kilku konnych Mahometan, porządnie uzbrojonych. Na ich czele, było dwóch jeźdźców w białych kosmatych góralskich czapkach, w porządnym czerkieskach, obwieszonych różną bronią, połyskującą od srebra. Reszta grupy, sądząc po ubiorze, składała się zapewne z Nukierów tych dwóch nadętych obywateli. Wszyscy Azjaci rozmawiali między sobą i dziwili się, że ich nie puszczają.

Szyldwach, młody chłopiec w mundurze z czerwonym kołnierzem, w białej czapce z kozyrkiem, od której się wdzięcznie odbijała jego

ładna twarzyczka, zadarłszy nos do góry, i zagroździwszy drogę karabinem, z Ruska po Mazowiecku w ten sposób odezwał się do Azjatów.

— Powiedziano, że nie puszę, i kiedy stoję na casach, to muszę znać służbę.

• Azjaci rozmawiali między sobą, a jeden z nich często wspominał o Szamchale.

— Co ty łzes durniu,—mówił dalej szyl-dwach,—jaki z ciebie Samchał, Samchał bez brody, jeździ z kozakami, ma Jeneralski cyn, a ty prosty Tatarzyn.

— *Bilmes* (nierozumiem), — odpowiedział Azjata.

— Otóż to durniu, że ty prawdziwy *bilmes*, od czasu, jakście porąbali na bazarze naszego soldata, jest przykazanie składać broń na wjezdzie. Zebyś miał ślify na cérkieszczę, tobym cię puścił od razu, a tak złóz broń a jak będziesz nazad wracał, to ci wydać rozkaze.

Azjata znowu *bilmes* powiedział, i zaczął lajać żołnierza. Pocieszna rozmowa, w której jeden drugiego wcale nie rozumiał, zapewne trwałaby dłużej ale w tem wyszedł pisarz z odwachu z księgą i z papierem, napisanym po tatarsku, po odczytaniu którego, Azjaci

z bardzo kwaśną miną zgodzili się na oddanie broni.

Pisarz zabierał się do wpisania ilości broni, i nazwisk oddających, a dwaj obywatele, podawszy broń Nukierom, puścili się cwałem, spiesznie oglądając się na wszystkie strony i przypatrując, czy kto, nie zauważy jaka ich hańba spotkała. Gdyby z europejskiego modnia się zdjęto na ulicy, kapelusz zapewne nie tyle byłby zdetonowany, ile się zdetonowali dwaj obywatele Dagestanu, dzielnie zmykający, i zostawiający za sobą mnóstwo kurzawy.

Wszedłszy do Szury i rozpatrzywszy się na wszystkie strony, nic nie widać miasteczkowego. Jest to wojenna osada w całym znaczeniu tego wyrazu *). Kogo się tylko spotka, każdy wyprężony, wyprostowany, i jeżeli nie z miny, to z odzienia wygląda wojskowo. Na każdym kroku, można zdybać albo żołnierza albo oficera.

Tam konno przejechał oficer. Tu na przybach, pod domkami, siedzą żołnierze z dziećmi

*) Sztab—Kwatera Abszerczeńskiego Pułku, i Górnej Bateria.

i żonami. Tam idzie kilku oficerów, i spotykają trzech malców w wojskowych kurteczkach i magierkach, trzej malcy stoją, wyprostowują się, robią front przed oficerami. Tam dalej przechadzają się damy z oficerami, i damy również przejęte wojskowością, bo wszystkie wyprężone, sztywne, chodzą w takt, i poszedłbym o zakład, że mają w myśli a może nawet nuciły marsze, którym się ciągle przysłuchują. Dalej kuźnia polowa w asystencyi żołnierzy ciągnie przez ulicę, — dalej znówu kilku żołnierzy. Tak jakoś oko do tej wojskowości przywyka, że cywilne odzienie dziwacznie i podejrzano wygląda. W całym miasteczku dwóch tylko widziałem po cywilnemu ubranych, jeden z nich był żydek złotnik, w długim surducie, z pudełkami pod pachą drugi w krótkim brązowym surducie, musiał być krawcem, albo szewcem z profesyją, bo szedł śpiesznie, jak gdyby miał kilka miarek do zdjęcia, przed każdym zdejmował swoją ceratową czapkę, chociaż nikt mu nawet głowę nie kiwnął.

Wznoszący się krzyż po nad zielonością drzew i krzaków, tak mnie nęcił do siebie, że zaraz poszedłem bliżej to wszystko rozpatrzyć.

Najprzód bardzo mi się podobał wybór miejsca, bo kościół zbudowany na zupełnie odrębnym i najokazalszym placu, między starym miasteczkiem i zabudowującym się nowym rynkiem. Ze wszystkich stron otacza go ogródek, ogrodzony ładnymi sztachetami, z bramą od frontu. Koło białutkich ścian ciągną się topole symetrycznie posadzone, od nich we wszystkie strony rozchodzą się gazony i klomby, zasadzone rozmaitemi krzewy i kwiatami, a pod samymi sztachetami, ciągnie się do koła, i zamyka ogródek, drugi szereg topoli. Mnóstwo tam ławeczek i darniowych kanapek, a ulice kręte i długie, wszystkie najstaranniej wysypane piaskiem.

Trudno mi to wszystko zapomnieć, bo miejsce to było moją ulubioną przechadzką podczas kilkoletniego w Szurze pobytu. Często tam przychodziłem smutny, stroskany, nie raz z burzą w sercu, z nieładem w głowie, a pod cichym szmerem wysmukłych topoli, godzina dumań i samotności wypogadzała mi czoło, jedyna z obecnością, przychodziłem do siebie, i wracałem zupełnie spokojny.

Inną razą w noc letnią, przy świetle księżyca, kiedy w mieście gwar ucichał, a kwiaty nabierały więcej zapachu, do tej Świętej Zagrody przychodziłem razem z innymi dwoma kolegami, i rozmowa nasza do której nas samo miejsce usposabiało, zawsze się długo ciągnęła. Władysławie! Tadeuszu! gdzież wy teraz!! Wyście byli tak młodzi, tak zacni, i tak godni lepszych losów. Widać żeście więcej należeli do Nieba, aniżeli do ziemi. Ziściły się przeczucia własnych waszych pieśni. Oh i w jakim oddaleniu od ziemi Ojeów, jednemu w Gruzji, drugiemu na Persyi granicy, do wyższych krańd przyświecał Geniusz z wywróconą pochodnią.

Święta zagroda tak mnie oczarowała, że dopiero obszedłszy ją do koła, kiedy stanąłem przed wystawą kościoła, niespodzianie dosłyszałem kościelne polskie śpiewy, — wszedłem więc, ale trafiłem na kończące się nieszpory.

I wewnątrz jak wszystko piękne, jak tam wszystko na swoim miejscu, jaka czystość wzorowa. I amarantowa draperja, rozwieszona na śnieżnej ścianie, zdobiąca ołtarz z obrazem męki Zbawiciela, i obrazy pozawieszane w różnych miejscach, i ozdobna orzechowa ambo-

na; i zgrabne ławeczki, wszystko stosowne, piękne, proporcjonalne, i dziwnie jakoś z sobą harmonizujące.

Kościół był dość napelniony, i jakie cudowne, jakie wzniosłe widziałem tam postacie; wszystkie je podniosł, upoetyzował smutek, co się przebijał na tych dzielnych obliczach. I osiwiali starcy, z nieruchomemi jak marmur twarzami, z pooranemi od zmarszczków czołami, i inni średnich lat ze szramami na swych śmiałych twarzach, jak dziwnie wyprzystojnieli, jak pięknie wyglądali pośród otaczającej ich ślicznej młodzieży. Ale kto najbardziej mnie wzruszył, to nieszczęśliwy co olsnął w drodze na Kaukaz. Osiemnastoletni blondyn, z anielską twarzą, z rozpuszczonemi włosami, klęczał pod amboną i rzewnie się modlił, — dostrzegłem nawet łzę co jak perła spadła na jego twarz różową. . . . *).

Udałem się do obozu przez wrota zachodniej części miasta, zupełnie przeciwległe wro-

*) W chwili, gdy to piszę w Dżelal-Ochly, w prawdziwym najatyckiem pustkowiu, odbieram z Szury wiadomość, że opisany kościół, istniejący podczas mego tam pobytu, został zain-

tom wschodnim, przez które weszliśmy do Szury. Pierwsza rzecz na której wzrok się zatrzymuje, jest okrągła strażnica z czerwonym dachem wybudowana na wzgórzu odległym o kilkaset kroków. Od rana do wieczora, strażnica ma swoją placówkę, z której po kolei, pod samym daszkiem, musi ciągle stać żołnierz na widecie, z wzrokiem wyteżonym na majaczący w dali wąwoz. Z tamąd to, można co chwila spodziewać się napadnięcia konnych Górali, z szybkością błyskawicy rzucających się na pasący się tabun i trzodę, i nie raz ze znacznym łupem wracających do swych niedostępnych legowisk, nie dawszy nawet czasu opamiętać się nikomu. Jak tylko żołnierz na widecie dostrzeże, że partja się zbliża, natychmiast strzela z karabina, na to hasło spoglądający na strażnicę kanonier, stojący z zapalonym lontem na najwznioślejszej w Szurze baterji, odpowiada wystrzałem z działa. Wtenczas, już wszyscy rozumieją o co rzecz chodzi. W całej wojen-

sionym, bo niedóść był wielkim. Na temże samem miejscu, z dobrowolnych składek, wymurowano inny, daleko większy i ozdobniejszy. Nowy kościół już jest zewnątrz i wewnątrz zupełnie skończony i już w nim odprawia się nabożeństwo.

nej osadzie robi się gwar i zamieszanie, kto tylko ma konia, najspieszniej każe go siodłać, i sam się uzbraja.

Żeby się rozerwać, i zajrzeć w oczy starym znajomym Góralom, nie raz uczestniczyłem w podobnych zastępach, złożonych z milicji i z oficerów, mających konie pod ręką. Podobne ekspedycje, nie trwały nigdy dłużej nad trzy lub cztery godziny. Rzadko wracaliśmy tryumfującymi z nietkniętem bydłem, częściej się zdarzało, żeśmy tylko połowę ich odbili, chociaż i utarczka dość była zajadła, i jedna, i druga strona zawsze liczyła kilku zabitych i kilku ranionych.

Najpocieszniejszy epizod z całej takiej wyprawy, odbywał się zawsze u tejże samej bramy. Rozpasane, rozczochrane żony żołnierskie, niektóre łkając od płaczu, inne miotając na cały świat najokropniejsze przekleństwa, oczekiwały tam swego dobytku. Trzeba było widzieć te istne czarownice z Makbeta, odszukujące swe krowy i cielęta, i rzucające się w sam środek przypędzonego bydła. Spłoszone konie rżały, a krowy i cielęta wierzgały, na wszystkie strony, i zwalwszy nie jedną z nich, obdarzały

porządne guzami. I na tym placu bitwy, leżeli rozciągnięci na ziemi, ale zabitych i raniomych nie było.

Od bramy, idzie się do obozu na prawo, pod okopami miejskimi, kończącymi się wzniosłymi fortyfikacjami, i najwznioślejszą baterją, o której wspomniałem. Do obozu jeszcze ztamtąd porządny był kawał drogi. Spuściwszy się na dół, przechodzi się rozłożysty jar, po którym płynie maleńka rzeczka, a później trzeba iść się pod górę, tam właśnie na obszernej równinie, białe namioty dziesięcio-tysięcznego, z różnych miejsc ściągniętego oddziału.

Przeprawiwszy się przez rzeczkę, i spojrzawszy na Szurę, zadziwia nas jej miejscowość i groźna postawa. Równina, która ją ze trzech stron otacza, nie pozwalała domyślić się, że ze strony północnej znajdują się wysokie pionowe zręby, i wiszące skały. Na nich to właśnie sporządzono baterje, z których najwyższą, ocieniła teraz zielona, rozpuszczona chorągiew, z dwugłowemi orłami; co było znakiem, że dowódca korpusu już przybył do Szury.

Bellum, horridum bellum! Zaledwie uspiąłem zrzucić z siebie lederwerki i otrząść się

z kurzawy, a już kazano do marszu wystąpić. Pierwsza Kompanja Saperów, Batalion Piechoty, Pluton Artylleryji i kilkaset konnej Gruzino-Imeretyjskiej Milicji, składało oddział, mający zrobić rekonesans, dójść do Sulaku, i opatrzyć dogodniejsze miejsce do zbudowania czasowego mostu, bo stary murowany most pod samem Czyrkiej, od kilku dni już był przez Górali zniesionym.

Wleklimy się więc wytrapiać nieprzyjaciela, i zrobiwszy ze dwie mile, kiedy już trochę ściemniało, stanęliśmy na bardzo dogodnej równinie, na której się znalazła wyborna woda.

Przed nami na wzgórzu rozłożyły się konne posterunki i nocne podjazdy, niżej rozstasowała się cała Milicja, a oddział rozłożył się na niwie, którą na przypadek, z pozostałych trzech stron, otoczył łańcuch nocnej rozsypanej warty.

Zasłaniające nas wzgórze było zupełnie ciemne, nam zaś dano rozkaz, żeby po pierwszym alarmie, wszyscy byli pod bronią, i pozwolono nawet rozłożyć ognie, na których w mgnieniu oka stanęło mnóstwo kotłów i kociołków.

Koło jednego takiego ogniska, usiadłem wraz z trzema kolegami, a poczciwy, nieoceniony

Walenty (Szeregowy 1szej Kompanji Saperów), któren mnie bardzo polubił, krzątał się koło stojących na ogniu kociołków, i puszczał rzesisty dym z króciutkiej fajeczki. Rumiana jego twarz jeszcze bardziej od ognia poczerwieniała, ogromne wąsiska były w wielkim nieładzie, i coś nadzwyczaj milczące usposobienie, dowodziło, że był w bardzo złym humorze.

— No cóż bracie—powiedziałem,—czy będziemy mieli czem się posilić.

— A coż tu może być do jedzenia w tej gołej dolinie,—odparł Walenty,—nie od rzeczy powiedziawszy, żebyś pan baków po mieście nie strzelał, to możeby co i było, a zresztą nikt nie wiedział, że dzisiaj wyruszamy.

— Ja coś uważam, że w złym jesteś humorze.

— A jak ja coś powiem, to i pan nie bardzo będziesz wesół.

— Naprzykład coż takiego?

— Neptun gdzieś przepadł, i nie od rzeczy powiedziawszy, zapewne go więcej nie zobaczymy.

— No bracie, taki pies nie przepada,—znajdzie on się, bądź spokojny.

— Pamiętam jedną razę,—mówił Walenty, pokręcając wąsy,—kiedyśmy szli do szarzy; zauważyłem że koń Pana Dziekońskiego spuścił łeb i coś bardzo strzygł uszami,—przypadnie powiadam—pan Józef tylko co odpowiedział taki koń nie przepada i tuż zaraz kula w sam łeb trafiła rumaka.

— No i cóż?

— Pan Dziekoński zleciał, potłukł się trochę, i nie był u szarzy.

— Jak uważam, bywasz prorokiem niekiedy, ale pytam się czy będzie co z tych kociołków.

— I będzie, i nie będzie.

— Cóż mało zapewne.

— Nie od rzeczy powiedziawszy, dla jednego to dużo, a dla pięciu to mało.

W tym momencie, Neptun sadząc przez wszystko, co mu na drodze zawadzało, stanął przedemną mocno zdyszany, z ogromnym, żywym, bażantem w pysku.

— Przyznam się—powiedział Walenty z niedaną radością,—nie spodziwałem się tego po Neptunie. Nie od rzeczy powiedziawszy, raz tylko w życiu takiego psa widziałem, ale to

u wielkiego pana;—takiego psa widziałem u Księcia Romana S.*

— A, — a — to znałeś Księcia — wszyscyśmy zawołali.

— I znałem, i nie znałem. Ot z panów to nikt go nie znał, bo przybyliście po jego wyjeździe z Kaukazu, a ja go często widywałem, i w Starwopolu i w oddziałach, — bałem się tylko przybliżyć do tego najznacznieszego człowieka.

— A toż dla czego? — zawołaliśmy znowu chórem.

— Kiedy bo to dziwny był panisko, byle tylko do którego z moich braci zagadał, już mu zaraz i pieniądze pakował do ręki. Otóż obawiałem się, nie to żeby z dumy, wszak jak wiadomo byłem tylko żołnierzem, a teraz jestem żołnierzem i szewcem z potrzeby, — chociaż to nie od rzeczy powiedziawszy i szewc był sławny nie jeden. Obawiałem się, bo pieniędzy nie potrzebowałem a Książę wydawał ich może i nadto. Dla siebie tylko był więcej niż skromnym, bo w wielu rzeczach sobie odmawiał. Nigdy go nawet nie widziałem inaczej ubranego, jak tylko w szaraku, ot w takim moi panowie, w jakim i my chodzimy. Dziwna

rzecz, — nie od rzeczy powiedziawszy, jak też on o wszystkim wiedział, — pomagał zawsze ludziom prawym, poczciwym, i prawdziwie potrzebującym, takim nawet, którzy byli o kilkadziesiąt mil od niego, i których nigdy nie widział. Dla tych zaś których znał osobiście, miał odrębną książeczkę, w której raz zapisany, zostawał pensionariuszem, i co miesiąc otrzymywał wyznaczoną kwotę. Ale niechże kto z pensionariuszów źle się prowadził, lub zrobił co złego, — o, to już Książę natychmiast się dowiedział, i ten co się przewinił zostawał z książeczki wymazanym, a na jego miejsce zaraz kogo innego Książę wpisywał. Jakżeż nie kochać było takiego człowieka. Nie od rzeczy powiedziawszy, miałem raz zrzęcnosc choć w małej części zawdzięczyć mu to wszystko.

— A toż jak?

— Nie od rzeczy powiedziawszy, uszyłem mu raz darmo buty.

— Zmiłuj się rozpowiedz jak to było.

— Byliśmy na wyprawie za Kubaniem, Książę lubił dużo chodzić, często zsiadał z konia, i prawie pół marszu szedł zawsze piechotą. Je-

dnego razu dostrzegłem, że miał but zupełnie pęknięty. Na drugi dzień patrzę, Książę już nie w swych długich pochodnych butach, ale w zwyczajnych krótkich. Dochodziliśmy właśnie do ogromnego aulu, w którym, jak mówiono, mieliśmy kilka dni zabawić, zawiązałem się więc, i we dwa dni, i we dwie noce, sporządziłem długie, przewyborne buty. Biedziłem się tylko, jakby je postawić w namiocie Księcia, tak żeby nikt nie widział, — ale i na to upatrzyłem stosowną porę; pamiętam, na różowym papierze, napisałem nawet pierwszy raz w życiu dwa wiersze, które przykleiłem do butów, a z których pan Kozłowski, ten co się uczył u Pijarów, nie od rzeczy powiedziawszy, naśmiał się do woli.

— Powieźże nam i te wiersze, zapewne musisz pamiętać.

— Jakżeż rymarzowi nie pamiętać swych rymów, nie od rzeczy powiedziawszy ot tak napisałem:

Dowód wdzięczności naszemu Księciu Romanowi,
A od kogo — ten swego nazwiska nie powi.

III.

Waledwie poczynało świtać, kiedy wyruszyliśmy z naszego noclegu. Noc mieliśmy chłodną chociaż na początku Maja, ale za to dzień był cudowny, — dzikie pejzaże, i bez chmurki błękitne niebo, oświecało w pełnym blasku jaśniejące słońce. O dziewiątej z rana, już byliśmy tylko o dwieście lub trzysta sążni od Sulaku. Stanęliśmy na wzgórzu, z którego widać było całą okolicę.

Z lewej i prawej strony, ciągnęły się pasma gór, a przed nami wywijala się, trochę spadziasta, coraz bardziej rozłożysta dolina, ciągnąca się do samej rzeki, po nad którą z naszej strony

były małe¹ wzgórza i urwiska, sam środek zaś był równy i zupełnie odkryty.

Rozpatrywałem przez lunetę nieprzyjacielską pozycję za rzeką. Zaraz nad samym brzegiem, można było dostrzedz barykady z kamieni, dalej miejscowość znowu zaczynała być wzgórzystą. Na pierwszym wzgórzu, o kilka dziesiąt sążni za nadrzecznymi barykadami, ciągnął się drugi szereg takichże samych barykad, a jeszcze wyżej trzeci i ostatni wzdłuż którego powiewały trzy białe chorągwie. Dalejszy pejzaż za rzeką był zupełnie ponury i bez kolorytu, cała przestrzeń do wyższej góry, piaszczysta i kamienista; sama zaś góra trochę zieleniała, i po niej widać było szeroką, dobrze ubitą, bielejącą drogę, wiodącą właśnie, do tuż za górą leżącego aulu Czyrkiej.

Żeby bliżej rozpatrzyć szerokość rzeki, posuwaliśmy się ku jej brzegom, i tam na wznioslejszych miejscach Kompania Saperów zaczęła urządzać baterję dla Artylerji. Na wybranem miejscu, postawiliśmy przywiezione z sobą tury, i zaczęliśmy je nasypywać drobnymi kamieniami, Górale w ten moment pozpoczęli rześisty ogień, i ciągle nam przeszkadzali ustawiać tury;

dziwić się trzeba było, że i na odległą metę bardzo trafnie strzelali, i że ich gwintówki tak daleko donosiły, bo od nas i do najbliższych barykad, więcej niż sto sążni można było liczyć *).

W przeciągu może dziesięciu minut, baterja już była urządzona, ale nasza Kompanija liczyła dwóch zabitych i siedemnastu ranionych.

Artylerja przykryta turami, zajęła swe miejsce, i zaczęła silną kanonadę; wtenczas wystrzały Górali prawie zamilkły, i tylko kiedy niekiedy kule ich trafiały w tury, nie szkodząc bynajmniej Artylerzystom.

Dwie kompanije strzelców, otrzymały rozkaz posunąć się nad brzeg rzeki. Ponieważ nie było żadnej potrzeby narażać się zupełnie nadaremnie, a chodziło tylko o zajęcie pozycyi, więc strzelcy rozsypali się w różne miejsca, i to siedząc, to leżąc, z po za kamieni utrzymywali z początku bardzo rześisty, a później coraz słabszy ogień. Z początku i piechota nim się rozłożyła, liczyła też kilku zabitych, i kilku ranionych,

*) Góralskie gwintówki sięgają nadzwyczajnie daleko, to zależy od sposobu ich nabijania: kula obwija się małym kawałkiem płótna, macza się w jaką kolwiek tłustość (którą Górale zawsze ma przy sobie), i zabija się w luźną pomocą młotka.

i stracił tam życie na miejscu, jeden oficer (był to Adjutant Ministra Wojny, przykomenderowany na czas ekspedycji); którego przejeżdżając, rozstawiał strzelców, i za nadto się zbliżył do rzeki.

Na wojnie, jak na wojnie, obok trupów i jęku ranionych, zawsze się znajdzie choć trochę komicznego. Doktor *bei uns in Wien*, ten sam, co nie dawał mi spać w namiocie, opatrując rany swoich saperów, stał teraz na baterji z lunetą, i pilnie rozpatrywał się w różne strony. W jego ruchach, widocznie przebijała się chęć spójżenia na obóz nieprzyjacielski. Doktor, już parę razy wysunął był głowę nad turę i przybliżał lunetę do oka; ale tuż zaraz dawał nurka na dół, i wtenczas pocieszał się cośmowięc do siebie. Niezawodnie, musiał w tej chwili układać sobie plany przyszłych wojennych opowiadań, w których jego meztwo i zimna krew niepoślednie miały zająć miejsce. W tym momencie przybliżyło się do niego dwóch oficerów od piechoty, i zaczęli go prosić, żeby się posfatygował nad rzekę dla opatrzenia bardzo ciężko ranionego Adjutanta. Doktor zmieszał się okropnie i zrobił następne pytanie:

— A czy ten Adjutant Saper, czy nie?

— Nie, odpowiedzieli oficerowie.

— A więc, *das ist natürlich*, że ja nie pójde do niego, macie tam drugiego doktora.

— Ależ drugi doktor daleko stąd, i w namiocie opatruje naszych ranionych żołnierzy, a pan nie tutaj nie robisz.

— Niech to panów nie interesuje, ja wszystko zrobiłem co do mnie należało, a z resztą ja i stąd widziałem jak padał z konia ten raniony, *sehen Sie ganz ruhig*, ja wnoszę że on już musiał skończyć życie, gdyż samo upadnięcie już było śmiertelne; *ja, ja, er ist schon gestorben*.

Tu oficerowie, nie wdając się w dłuższą rozmowę, poprowadzili zbladłego doktora pod ręce, którego, chociaż w tym momencie nie było słyhać świstu kul, już zawczasu schylał się, i kłaniał na wszystkie strony, i jak strus gdy się przestraszy, gotów był w piasku zagrzebać głowę.

Kanonada i wystrzały ręcznej broni, dawały się słyhać coraz rzadziej. Niespodziewanie, koło czwartej po południu, z tegoż samego wąwozu, z którego i my weszliśmy, na zajętą

pozycję, wywijały się teraz wojska różnej broni, już widać było i żółtą chorągiewkę, otoczoną Jenerałami i Adjutantami, a dalej pokazywała się także błękitna chorągiewka *) z podobną grupą chociaż trochę mniejszą.

Przyczyną pośpieszenia głównych sił było to, że Dowódzca Korpusu otrzymał wiadomość iż Sulak zaczął znacznie przybywać; nie można więc było tracić czasu, gdyż zbudowanie mostu podczas większego przybywania wody, stałoby się nadzwyczaj trudnym, i prawie niepodobnym.

I tak, ramy naszego wojennego obrazu zupełnie się wypełniły, — huk i wrzawa powiększyły się o stokroć, zamiast Plutonu Artylleryi odkryto ogień z dwudziestu dział, Piechota zaczęła po nad rzeką i strzelała całemi Kompanjami. Poleciały białe chorągwie z uszkodzonych barykad, ale mężnego nieprzyjaciela nie zdołaliśmy ztamtąd wykurzyć.

*) Żółta chorągiewka była godłem dowódzcy Korpusu, a błękitna należała do Szefa Sztabu. Te godła wożone przez linijowych kozaków bardzo są czasem użyteczne, gdyż oficerowie wysyłani dla otrzymania nowych rozkazów, również jak i spieszący z doniesieniami, nie tracą czasu na rozpytywanie się gdzie się Sztab znajduje.

Wieczorem, kiedy już ściemniało, nastąpiła znowu praca dla Saperów. Druga nasza Kompanja przywiozła z sobą różne drewna, przygotowane do zbudowania czasowego mostu. Wraz więc z tym materiałem posuwaliśmy się cichaczem nad sam brzeg rzeki, żeby zacząć roboty. Dostyc było ciemno, ale czujni Górale dostrzegli nas, i osypali gradem kul z najbliższych zawalów. W tej potrzebie przestrelono mi czapkę, co dopiero na drugi dzień dostrzegłem.

Obydwie Kompanje stały prawie kwadrans cicho, jakby powięzły w ziemi i oczekiwały na rozkazy. Nareszcie kazano nam wrócić na dawniejsze miejsce. Przyczyną tego odwrotu jak się później dowiedziałem, było to, że materiały z powodu zbytelnego przybycia wody, okazały się nie wystarczającymi dla sporządzenia mostu. Tak przynajmniej zapewnił oficer od Kwatermistrzostwa, co kilka dni przed tem, przebrany po góralsku, opatrywał brzeg rzeki, a teraz przed samem zaczęciem robót, robił powtórne postrzeżenia.

Nazajutrz ze wschodem słońca, postrzelaliśmy jeszcze trochę na pożegnanie, i cofnęliśmy się prawie o pół mili, na obszerną równinę, na

której zostawały nasze namioty, i inne obozowe ciężary.

W trzy dni później, z powodu że rzeka coraz bardziej przybywała, nastąpił inny plan wojennych działań. Oddział nasz rozdzielił się na dwie połowy. Pierwsza z nich, z którą wystąpił Dowódca Korpusu, miała na celu obejść Czyrkiej zupełnie z przeciwnej strony, i uniknąwszy budowania mostu pod wystrzałami, miała iść do Czyrkiej po drodze, prawie równej, ale przerznętej w kilku miejscach ogromnemi zawałami, od dawna najstaranniej przygotowanemi. Druga połowa pod dowództwem Pułkownika, jedynie dla rozdzielenia sił Góralskich, miała robić fałszywe demonstracje po nad Sulakiem, ale już w innem miejscu, i jak raz przeciw aulu, powinna była zająć pozycję, — tam właśnie, gdzie był zniesiony most przez Górali.

Pierwsza Kompanja Saperów, a więc i ja, byliśmy pod rozkazami Pułkownika. Dochodząc do naznaczonego miejsca, ujrzelśmy Sulak, za którym zieleniały przylegające obszerne sady, pnące się terasami, coraz wyżej, — a tuż za niemi, najwyborniej widać było, olbrzymi,

szary aul, zaczynający się na równinie, piętrzący się coraz wyżej, i nareszcie na wyniosłym wzgórzu rozkładający się zupełnie w amfiteatr. Wyborna gratka dla Artylerzystów, gdyż cały Czyrkiej dawał się najwyborniej bombardować.

Urządziliśmy baterję, i dziesięć dział bombardowało bez ustanku ogromny aul. Zauważyliśmy od razu, że w ogrodach nie wielu było Górali, mieli oni tam nad samą rzeką mnóstwo zawałów, i chociaż nie wszystkie były przez nich zajęte, jednak w miarę potrzeby z jednych do drugich często przechodzili, i wtenczas to piechota osypywała ich rzesistym ogniem. Najpotężniejsze, najbardziej umocnione, i najlepiej bronione zawały, były jak raz przeciw zniesionego mostu, z prawej ich strony powiewała biała chorągiew, i nikt bezkarnie nie mógł się do nich przybliżyć. W tem miejscu, olbrzymi Sulak płynął między ścieśniającemi go z obydwu stron skalami, miał tylko trzy sążnie szerokości, ale za to nurty jego tak były bystre, że tworzyły zupełnie ogłuszające kaskady.

Na drugi dzień po zajęciu naszej pozycji, już dawały się słyszeć wystrzały z dział głównego Oddziału, na trzeci wystrzały były co-raz wyraźniejsze, i zauważyliśmy że w miarę zbliżania się Dowódcy Korpusu, zmniejszały się za rzeką szeregi Azjatów. Nareszcie na czwarty dzień, cały nasz oddział ze wschodem słońca już gwarzył o zawieszeniu broni, i o układach z Góralami za pośrednictwem tłumacza. Poszedłem zaraz na to miejsce, gdzie się zawierał prawdziwy traktat pokoju.

Za rzeką, przed głównymi zawałami, stało siedmiu staruszków, dosyć obdartych, ale uzbrojonych w szaszki i kindżały. Długie ich gwintówki były oparte o barykady, niedaleko od białej chorągwi.

Z naszej strony, skupiła się ogromna grupa ciekawych oficerów i żołnierzy, na jej czele stał młody chłopiec, Adjutant Pułkownika, i wystrojony w galonową czerkieską otyły Ormianin—tłumacz. Dyplomatyczna rozmowa, w tym guscie, odprawiała się w języku lezgińskim.

Tłumacz. Świadkiem sam Allah, że mogli-
bysmy was zabić, zniszczyć do szczytu wasz
aul, i wyciąć w pień wasze orzechowe drzewa

ale ponieważ zaprzestaliście strzelać i żądacie
pokoju, więc przystąpimy do warunków. Po-
wiedzcie więc, o co błagacie naszego Sardara.

Jeden z siedmiu staruszków. Pozwalamy wam
budować most, oddajemy nasz aul pod opiekę
waszego Sardara, i pozwalamy mu zająć naj-
lepszą dla siebie sakłę. Co się zaś nas dotyczy,
warujemy sobie całość i nietykalność naszych
osób, i żądamy zwrócenia czterdziestu tysięcy
owiec wczoraj u nas odbitych.

Tłumacz. (po długim porozumieniu się z Ad-
jutantem) Sardar przyjmuje was pod swą opie-
kę, i zaraz przystąpi do zbudowania mostu dla
wspólnego użytku. Mój wielki pan i władca
darowuje wam życie, — co się zaś owiec doty-
czy, o tém nie stanowczego wam powiedzieć nie
można, gdyż te musiał zdobyć oddział drugie-
go, to jest starszego Sardara.

Jeden z siedmiu staruszków. Pamiętajcież
więc dotrzymać wszystko, co się tu powiedziało,
i nie sądźcie żeby brak męstwa zmuszał nas do
pokoju. Za tą rzeką i za temi zawałami, dosyć
nas tu było, żeby was niepuścić do aulu.

Tłumacz. Ależ tu wczoraj było was kilkuset,
gdzież się oni podzieli?

Jeden z siedmiu staruszków. A wszakżeż wszystko to była brykająca młodzież, nie mogli więc usiedzieć na miejscu, i poszli wojować z drugim waszym oddziałem. My zaś musieliśmy pozostać, bo od starości już i nogi nie bardzo nam służą, i pod naszą opiekę cały był aul oddany, w którym wszelakoż prócz kotów i kamiennych domów, nie się teraz więcej nie znajduje.

Tak się skończyła kapitulacja siedmiu staruszków. Śmiano się z nich, żartowano, a oni wszystko przyjęli za dobrą monetę, i zapewne nie raz w życiu musieli się chwalić swemi ważnemi czynnościami.

Wzięliśmy się zaraz do budowania mostu, i nikt nam już nie przeszkadzał, ale czem każdego staruszków był wówczas zajęty, to trochę za trudno byłoby odgadnąć? — to wszakże dowodziło, że i nadal mają najlepsze dla nas chęci. Oni najspokojniej wygrzebywali karabinowe kule z zawałów, mówiąc że to rzecz bardzo dla nich potrzebna, bo koło Czyrkiej nigdzie blisko nie ma ołowiu.

Tegoż samego dnia, około piątej po południu, most na prędcie zbudowany, już gotów był zu-

pełnie, weszliśmy więc do aulu, a w kilka godzin później złączyła się z nami i przednia straż głównego oddziału.

Tak więc, ekspedycja nasza nie długo trwała, — *veni, vidi, vici*. I chociaż w głównym oddziale było około dwiestu zabitych i ranionych, ale zważywszy że Dzemil miał kilka tysięcy pod swemi rozkazami, zważywszy że trzeba było brać szturmem mnóstwo ogromnych zawałów, zważywszy to wszystko — można było zwycięzcom śmiało wieszować wygranę.

Jak raz naprzeciw rozkładającego się w amfiteatr aulu, nad rzeką, na miejscu panującym nad całym aulem, zaczęliśmy budować ogromną fortecę.

Rozpierzchnięci mieszkańcy tłumami wracali do swych siedzib *). Dziwiła mnie ich szpetność, nie tylko pięknej, ale nawet znośnej nie widziałem postaci. Najczęściej były to grupy

*) Mieszkańcy jakiś czas wahali się z powrotem do swego aulu, jedynie dla tego żeby wytargować zwrócenie czterdziestu tysięcy, swych góralskich, tlasto-ogonowych baranów i owiec. Na nieszczęście układy ich do niczego nie posłużyły, i cała odbita trzoda rozdzieloną została między różne auly dawniej przez Czyrkiej okradane i grabione.

prawdziwych Satyrów, z twarzami jakby nalepionemi, i dziwnie niekształtnemi, które gdyby się mogły ociosać, to snycerskiego nie wystarczyłoby dłuta, trzebaby chyba użyć stolarskiego hebla.

Szczególniej raziły swoją szpetnością kobiety, — uszy ich dźwigały mosiężne kółczyki, tak potwornej wielkości, że się mogły przydać na koła do niewielkich góralskich arb. Pamiętam nawet że później, kiedy mieszkańcy wozili płyty ogromnych kamieni do budującej się fortecy, a ich arby ciągle się łamały, słyszałem raz, jak Walenty, któren konwojował jedną z nich, jeszcze lepiej rozwinął tę moją myśl. Radził on właścicielowi, żeby powiesił koła na uszach pięknej żony, a kółczyki na osiach piskliwej arby. Możeby się Góral i zgodził na tę małą reformę, ale nierozumiał o co rzecz chodzi, bo Walenty miał zwyczaj do wszystkich mówić po polsku.

Roboty szły bardzo spiesźnie, mieszkańcy coraz bardziej zaczęli się do nas przyzwyczajać. Z początku przynosili nam różne produkty na sprzedaż, później przychodzili tak sobie, — żeby się nam przypatrzeć. Zazierali do na-

szych namiotów, i tam każda rzecz, kaźden sprzęt zwracał ich uwagę. Szczególniej podobały się im zapalki, potarłszy je o swe własne czerkieski góralskiego szorstkiego sukna, otwierali gęby, i nie wierzyli swym oczom. Utrzymywali do końca, że ogień doarty takim sposobem, jest sprawą szatana.

W niedzielę, kiedy w obozie grała muzyka, mieszkańcy przychodzili całemi bandami, cisnęli się, okrażali grających, a ci co byli z tyłu, piekli się na barki stojących na przodzie. Takim sposobem, przypatrzeć się można było, galerji złożonej z kilkuset głów, pokrytych łachmatami czapkami, z pod których wyglądały rumiane, niekształtne, *in crudo* twarze, nie wyrażające żadnej myśli, żadnego podziwu, ani zadowolenia, chociaż jedynie tylko ciekawość zebrała ich w taką ogromną gromadę. Zauważyłem, że niektórzy z nich zbliżali się, i zaglądali w puzony i waltornie, — chcieli zapewne przypatrzeć się formacyi tonów. A kiedy muzyka grać przestała, jeden oberwaniec podszedł z wielkiem uszanowaniem do tambur-mazora, wziął w obie ręce jego buławę, zaczął w nią dąć,

i dziwił się mocno, że taki okazały instrument nie wydaje najmniejszego głosu.

I my w ciekawości nie ustępowaliśmy ani trochę Czyrkejcom, staraliśmy się ciągle wywiadywać o ich bycie, i różnych szczegółach. Szczęśliwym trafem, jeden oficer od Saperów poznał się z ich starszyną; skorzystałem więc ze zrzeczności, i namówilem go, żeby zaprosił na obiad do naszego namiotu, owego wielkiego Prezydenta, małej Rzeczypospolitej.

O godzinie dwunastej, podjeżdżał konno pod nasz płócienny domek wielki Dygnitarz, za nim biegło truchtem kilku pieszych służalców. Koń i jeździec mieli coś w sobie wspólnego. Zaręczyć mogę że nasz dygnitarz na każdym innym koniu dalekoby gorzej wyglądał, a koń pod innym jeźdźcem straciłby na cenie. Tak jakoś dziwnie z sobą harmonizowali, że tylko razem stanowili zupełną całość. Koń był siwy, grzywa jego i ogon najstaranniej były pofarbowane na pomarańczowo. Starszyna był w szarej czerkiesce, wyglądające włosy z pod białej kosmatej czapki, i podstrzyżona broda, były pofarbowane tą samą pomarańczową farbą. U Starszyny było, trochę srebra na czerkiesce, szaszce, i kindźale,

u konia, srebro błyszczało na uzdeczce, i podogoniu. Koń i jeździec liczyli pół wieku, to jest koń mógł mieć lat dziesięć, a Starszyna cztery razy więcej, obaj byli wzrostu miernego.

Kiedy ta całość się rozdzieliła, to jest kiedy jeździec zsiadł z konia, po uroczystych *Salam alejkium Alejkium salam*, i t. d. kiedy się zbliżył i nasz tłumacz, konia poprowadzono do obozowych koni, a dygnitarza do namiotu. Koń zarżał, Dygnitarz odkaslnął, obaj obrócili lby, i jeszcze spojrzeli na siebie. Trudno im było rozstać się, widać że z sobą sympatyzowali jak Damon z Pytiasem.

U wejścia Dygnitarz zrzucił trzewiki, a czapkę zostawił na głowie, co było znakiem prawdziwego poloru. Wypiszę tutaj com wyczerpnął z jego rozmowy.

Starszyna piastował swój urząd już od lat siedmiu, odziedziczył go po swoim ojcu. Na jego obiór, również jak na obiór jego ojca, zgodzili się starsi w aule, co było dostateczną sankcją. Jaka zaś była forma rządu przed tem, nie umiał mi na to odpowiedzieć, i przyznał się że nigdy się o to nie rozpytywał. Słyszał tylko, że dawniej Czyrkiej wojował szcze-

sliwie z sąsiednimi aulę, i nakładał na nie haracz składający się z różnego rodzaju domowych zwierząt. Później Czyrkiej zachowywał ścisłą neutralność, i działał tylko odpornie. Chany Mechtulji, i Szamchały Tarków, nie raz go chcieli opanować, ale aulę zostawał do końca niepodległym, i zawsze stał otworem dla wszystkich przesładowanych od losu, *ulgo* awanturników. Ci przesładowani, grali jednak ważną rolę w aule; tak że jeżeli coś chcieli postanowić na swoim, to i sam Starszyna (któremu bardzo na to narzekał), oprzeć się im nie był w stanie. Mullę też mieli swój głos, chociaż nie bardzo znaczący, ale nie raz udawało się im sądzić różne sprawy, i działać zupełnie niezależnie od Starszyny. Łatwo więc wniesić można, że małeńka, ale anarchiczna Rzeczpospolita, prócz władzy swego Starszyny, przyznawała jeszcze władzę Mullów, i władzę przesładowanych od losu, i że tylko te trzy władze razem wzięte stanowiły zupełny Rząd. Rzeczpospolita, to jest aulę, składa się z szczęsiuset dymów, liczących cztery tysiące głów. Na zrobione pytanie, co jedzą mieszkańcy obfitujący tylko w orzechowe drzewa, Starszyna był

w wielkim ambarasie, i nie mógł zadość uczynić mojej ciekawości. Widziałem wprawdzie za aulę młyn zbudowany na kaskadzie rzeki Kojusu, ale młyn ten był opuszczonym, i przy nas nie w nim nigdy nie mielono. Uprawnych pól też nie widziałem, i długo się o to spierałem ze Starszyna, utrzymującym że Czyrkiej posiada ogromne pola, na których zasiewa jęczmień, proso, i kukuruzę. Te fantastyczne uprawne pola, o których Starszyna wspominał były tak małe, że nie zasługiwały na żadną uwagę, i nie każdy nawet mógł je dostrzedz; — z czego wnosić wypadało, że małeńka Rzeczpospolita musi w wstrzemięźliwości do jada przewyższać samych Spartanów. Starszyna ciągle się spierał i dowodził, że w Czyrkiej są ogromne uprawne pola; — zacytowałem mu wtenczas następne opowiadanie, które słyszałem od jednego Górala.

W jednym aule, ściśniętym wąwozami, po spadzistości góry ciągnęły się ustępy terasów, z wielką pracą przygotowanych do zasiewu. Rolnik jeden, który tam miał trzy pola, zasiał dwa, ale trzeciego, w żaden sposób odszukać nie mógł. Rolnik biedził się długo, i nie wie-

dział co począć, — już miał wracać do domu, schylił się więc żeby wziąć swą burkę, wtem spostrzegł nagle skarb zatracony — całe trzecie pole było pod burką.

Obiad nasz miał się już ku końcowi, biedziliśmy się tylko, że starszyna nic nie pił. Obawialiśmy się, zaproponować mu szklankę wina, bo jako prawdziwy Mahometanin, mógłby się za to urazić. Wpadłem więc na myśl poczęstować go sodą. Starszyna z wielką podejrzliwością przypatrywał się dwóm wydobytym proszkom, ale po długim wahaniu się, zgodził się spróbować nieznajomego sobie napoju. W dwóch więc szklankach rozprowadziliśmy proszki, i kiedy później zbliżyłem się do niego, żeby go napoić szypiącą i burzącą się sodą, Starszyna zbladł jak chusta, raptem wyskoczył z namiotu, zaczął coś burezeć pod nosem, i kazał swym Nukierom jak najprędzej przyprowadzić konia. Widocznie podejrzewał, że chcieliśmy go otruć. Najsilniejsze perswazje, najdokładniejsze objaśnienia, nie nie pomogły; zniecierpliwiony Mahometanin pobiegl sam za swymi Nukierami, żeby prędzej dosięść konia. Już nie wiem, czy to trafem, czy z jego rozkazu

kon był rozsiodlany. Starszyna nie wahał się ani chwili, wskoczył na swego rumaka i oklep poleciał jak strzała; a za nim przestraszeni, i oglądający się asystenci biegli jak opętani, z wyszywanym czaprakiem, siodłem, i zapomnianymi trzewikami. Kiedy się od nas oddalili na kilkadziesiąt sążni, raptem Starszyna zatrzymał się, zsiadł z konia, i kazał go osiodłać, widać nie chciał pokazać się tak niezwyczajnie w aulu, — później już tylko klusem dążył do domu.

W pół roku po zajęciu aulu, to jest w połowie Listopada, ogromna forteca zupełnie była skończona; — powiewał na niej sztandar, i błyszczały działa. Dziesięć tysięcy żołnierskich rąk, nie darmo pracowało; bo również i wewnątrz, wszystkie budynki dla liniowego batalionu, mającego tam zostać na stałej kwaterze, zupełnie były gotowe. Koszary dla żołnierzy i dla oficerów, kancelarja, szpital wojenny, magazyn, prochownia i inne domy, wszystkie białe, czyste, pokryte czerwoną dachówką wyrosły z ziemi jak grzyby z czerwonymi główkami; ale najprzód ze wszystkich pospieszył się budynek, w którym każdy mógł się wymyć i wyparzyć. Czytałem gdzieś że w no-

wych osadach, Hiszpanie najpierwej budują kościół, Francuzi teatr, Anglicy giełdę, — a Rossjanie parową łaźnię, wypadaloby dodać

IV.

W opisanej (w ostatnim rozdziale) wojnie, siły Górali pod dowództwem Dzemila, dochodziły do czterestu tysięcy; dawniej na Kaukazie, rzadko bardzo zdarzało się mieć do czynienia choćby z połową takich zastępów. Stożyczny-Kaukaz nigdy się nie mógł z sobą porozumieć, w górach i lasach liczne niepodległe plemiona, ciągle nieprzyjazne, nie raz przeciw sobie dobywały miecza i nie szczędziły się ani trochę. Na płaszczynach, większe Prowincje Chaństwa, mające rządy lepiej uorganizowane, ale już bezsilne, i dręczone napadami sąsiadów, udawały się pod opiekę Rossyi. Wtenczas na Kaukazie każdy prawie aul, każdy zaścianek, każde

towarzystwo, miało swych wrogów z którymi prowadziło rozbójniczą wojnę. Nie było między nimi nic wspólnego, wiara osłabła, nie mogła ich więc jednoczyć; — a wyraz Ojczyzna Górale nie znają w swej mowie, tak jak wszystkie azjatyckie narody. Ten wyraz nie istnieje dla Mahometan, bo nigdzie o nim nie wspomina ich Prorok, Alfa i Omega wschodniej mądrości; ale jest wyraz, jest *idea*, która ich może zjednoczyć, i która wybornie się помещa w każdej wschodniej głowie, tak łatwo marzącej o cudach. Najogromniejsze załamywanie się, dają się tam zebrać, jeżeli je owionie cudowność i kieruje fanatyzm. Myśl to nie nowa, wiedzieli o tem Assasiny *), wiedzieli

*) *Assassini, Assisini, les Assassins*; wiadome nazwisko strasznej Mahometafskiej sekty, które pozostało w wielu Europejskich językach, dla oznaczenia chytrego zabójcy i zdraźliwego rozbójnika. To nazwisko, nadane im było przez rycerzy krzyżowych, od arabskiego słowa *Chaszszin*, to jest używających konopi (*Chaszsz*), sprawujących też same skutki, co i opium. Ich naczelnik (*le Vieux de la Montagne*) posiadał nieograniczoną władzę, na jego skinienie, Assasiny nie tylko zdraźliwie truli i mordowali nieprzyjaciół, ale nawet topili samobójczo kindźali we własnych sercach, jeżeli tego od nich wymagał. Sekta ta założona przez Hassana-ibn-Sab-

o tem nawet Lady Stanhope, właścicielka dziwnego konia, wyczekująca tylko w Beglerbeju sprzyjających okoliczności do zaczęcia swych działań. Wie o tem każdy Murabut w Algeryi. Wiedział o tem i Szeich Mansur, co z Bucharyi, w końcu zeszłego stulecia przywędrował na Kaukaz.

Pobożny ten Szeich, osiadł w Czechni, i trapiiony był ciągle tą myślą że wiara upada, że nie ma jedności między Góralami a Rossjanie coraz się bardziej zbliżają. Ascetyczne i świętobliwe życie, zjednało mu powszechny szacunek, imię jego zrobiło się głośnem, przyznano mu dar przepowiadania, i zewsząd cisnęli się Mahometanie, żeby zobaczyć niezwyčajnego męża. W aule, w którym on zamieszkał, dowiedzono najsumienniejsz, że Mansur często po nocach jeździ wysoko, i widuje się z Mahometem aż w siódmym Niebie. Znaleźli się tacy, co raz na własne oczy widzieli go, jak z po za chmur spuścił się do Meczetu. Z powodu tej napo-

luga przy końcu XI wieku, trwała sto siedemdziesiąt kilka lat, brała haracze z panujących na wschodzie Władców, i miała w swem posiadaniu, fortece, zamki i miasta.

wietrznej żeglugi, przyszło w aule do małych nieporozumień. Jedni dowodzili, że Mansur odbywał swą podróż na Barraku *); inni najzwzięciej utrzymywali, że Szeich Mansur dosiadał Hiazuma **). Dwa te stronnictwa, poparły raz swą sprawę walką na pięści;—mnóstwo guzów i siniaków, ozdobiło skronie wielbicieli cudowności, ale rzecz się należycie nie wyjaśniła.

Szeich korzystając z pożądanego usposobienia umysłów, zaczął zaraz cichaczem rozpowiadać o swych pogadankach z Mahometem, o jego ubolewaniu nad Kaukazem, i o środkach zaradczych uznanych w Niebie za najstosowniejsze. Później korzystając z fanatyzmu, działał coraz śmieiej;—i stanęło na tém, że Szeich ufundował religijne stowarzyszenie, mające na celu, wzmocnić wiarę, i odeprzeć niewiernych od granic Czechni.

Nie wiadomo co było powodem nagłego pośpiechu, ale Mansur, zebrawszy tylko do

*) Znamienity ten rumak, miał postać konia, twarz kobiety, i skrzydła ogromnego ptaka; to ten sam Barrak, na którym według tradycyi, Mahomet nie raz podróżował do Nieba.

**) Według tejże tradycyi, tak nazywają konia Archaniola Gabryela.

trzech tysięcy uzbrojonych zwolenników, poprowadził ich przeciw wojskom Rossyjskim, które ich niemiłosiernie potłukły. Poległo wtenczas mnóstwo fanatyków, a Szeich Mansur dostał się w niewolę, był wysłany do Rossyi, i skończył życie w Sołowieckim monasterze, przeznaczonym mu na miejsce pobytu.

Po takim nie fortunnym prologu, rzeczy poszły znowu dawną koleją;—ciągle nieporozumienia nie dozwalały Góralom działać wspólnymi siłami, i orły dwugłowe posuwały się w głąb gór Kaukazkich. Wstrzymała je trochę nowa religijna sekta, tak nazwany Miurydyzm *), o którym zaraz się obszerniej rozgadamy.

Chadży Izmail Effendi, mieszkaniec aulu *Kiurdemira* (w Szyrwaniu), odbywając roku 1820 pielgrzymkę do Mekki, poznał się we wsi Sulejmany (nie daleko od Bagdadu), z nie-

*) Miurydyzm, sekta wojenno-ascetyczna, zasadza się na Tarygacie, to jest na tej części Koranu, w której wykłada się nauka panowania nad namiętnościami. Miurydyzm był dawniej w Persyi wyznawanym. W roku 1598 (906. Mahomekańskiej ery) doszedł tam do takiej potęgi, że Miurszyd (Mistrz sekty), Izmail Safi owdlał tronek Szachów, i ugruntował w Persyi swoją Dynastję.

jakim Chalidem. Właśnie w tymże czasie, uczony ten Mahometanin, w okolicach Bagdadu, wznowił i propagował Miurydyzm. Chadży Iznail, biegły w Mahometańskiej teologii, zabawił jakiś czas u Chalida, i został jego gorliwym zwolennikiem. Wróciwszy do Kiurdemiru, Chadży zaczął tam rozszerzać nową naukę, ale ostrożnie i z wielką bojaźnią, tak że z początku szło bardzo tępo.

W roku 1823, mieszkał w Chaistwie Kiuryńskim, w aule Jarag, Mulla Mahomet; — nauka zjednała mu w Dagestanie tytuł Alima, a urząd głównego Kadego pozwolił zebrać dostatek. U tego uczonego, kształcił się przez lat siedem wychodziec z Bucharyi Chas Mahomet, który nauczywszy się po arabsku, zaczął nie żartem zagłębiać się po całych dniach w Koranie. Po skończonym kursie teologicznych nauk, Chas Mahomet pożegnał Kadego, mając zamiar wrócić do Bucharyi i tam zaczerpnąć jeszcze więcej światła, od tamiecznych Alimów. Po jego wyjeździe, w Jarag, różne o nim chodziły pogłoski; jedni utrzymywali, że Chas Mahomet oparł się aż w Turcyi, inni dowodzili że wędruje po Persyi. Miały to być najpewniejsze o nim wiado-

mości; bo nikt nie chciał wierzyć, żeby Chas Mahomet wrócił do Bucharyi. Uplłynął rok, i Buchar znowu powrócił do Jarag; najpodobniejsze do prawdy, że w tym czasie musiał zostać agentem Turcyi *). Kady przyjął go z wielką radością, zauważał w nim jednak wielką przemianę; — gdyż Chas przepędzał całe dnie w najciszejszych postach i modlitwach, był ciągle zamyślonym i skąpym w słowa nawet dla samego Kadego, do którego zawsze był bardzo przywiązanym. Jedną razą, kiedy Kady zapytał Chas Mahometa, o przyczynę takiej przemiany, usłyszał od niego usprawiedliwienie się, i zmawianie na religijne usposobienia. Dwaj uczeni długo z sobą rozprawiali, nareszcie stanęło na tem, że Chas Mahomet zawdzięczając Kademu, za siedmioletnią pracę, obiecał odkryć tajniki wyższej wiedzy nabytej w Bucharyi. To wszelakoż nie inaczej mogło nastąpić, tylko pod tym warunkiem, że Kady Mulla Mahomet

*) Górale należą do Sekty Sunni, a Mahometanie Zakaukazkich Prowincyi najczęściej są Szahitami; z tego powodu, na pierwszych wywiera wpływ Turcyi, a na drugich Persyi. Górale nieraz utrzymują, że Turcy już zdobyli Krym, i że wkrótce przyjdą im na pomoc.

zbierze do siebie uczeńszych duchownych Kiuryńskiego Chanstwa, i że wszyscy pojedą razem do Chadży Izmaila Effendi; gdyż bez jego aprobacji i zezwolenia, Chas Mahomet utrzymywał, że nic wyjawić nie może.

Jak ułożono tak się stało, Kady zabrał uczeńszych duchownych, i razem z nimi i z Chas Mahometem, przybył do Kiurdemiru. Nim przyszło do pożądanego odkrycia, rozpoczęły się teologiczne spory, i wspólne narzekania: że wiara Proroka zachwiana, że prawowierni nie świadomi Szarjatu *); że oswoili się z występkami i — że koniecznie trzeba ich podnieść z upadku.

Po takim kilku dniowem przygotowaniu, Chadży Izmail i Chas Mahomet, objawili zgromadzonemu zasady Miurydyzmu, mające najpomysłniej umocnić wiarę, prawdę i cnotę, a ra-

*) Część Koranu, w której wyjaśnione obowiązki zdarzyć się mogące w różnych okolicznościach życia prywatnego. Szariatem nazywają też jurysdykcje sądowe najczęściej złożono tylko z osób stanu duchownego; są to jedyne sądy, do których z dobrej woli udają się Kaukazy Mahometanie — Takie Szariaty znajdują się na Kaukazie prawie po wszystkich Mahometanśkich miasteczkach.

zem najkorzystniej podzielać i na losy Kaukazu.

Dalsze rozprawy zebranych Mullów, doprowadziły do tego: że dawniejszy Miurydyzm, został zreformowanym, i zastosowanym do miejscowości; to jest że pierwotne zasady nie prowadzenia z nikim wojny, zostały zniesione, jako niezgodne z Koranem; na ich zaś miejsce, przyjęto następne hasło — wieczna zgoda między sobą, i wieczna wojna z Giaurami. Chadży Izmail Effendi mianował Mullę Mahometa starszym Miurszydem, rozkazał mu wrócić do Jarag, i stamtąd działać stosownie do okoliczności.

Zasady fanatycznego Miurydyzmu, są w gruncie bardzo moralne, przyjęty do tego towarzystwa, powinien zupełnie zaprzeć się siebie na ziemi i marzyć tylko o Niebie; powinien przyobiecać szczerą poprawę i żal za przeszłe grzechy; powinien postać, modlić się, i wyrzec się wszelkich rozkoszy i uciech światowych, a nawet i palenia fajki.

Forma przyjmowania do Miurydyzmu, długa i zawikłana; ale raz usposobiony i przy-

jety Miuryd, jest obowiązany ciągle propagować, i przysposabiać nowych zwolenników.

Proces ten odbywa się następnym sposobem; jak tylko pobożny Mahometanin, wynurzy chęć zostania Miurydem, wtenczas Miurszyd przeczytawszy z nim stosowne modlitwy, bierze go za obie ręce, długo patrzy mu w oczy, i przyjmuje go, lub oddala, a to według popędu własnego serca i natchnienia,

Przyjęty, zaczyna swe rekolekcje, które trwają dwiesięć osiemdziesiąt dni, i rozdziela się na pięć okresów, noszących nazwiska pięciu Proroków, których Mahomet przyznaje, to jest Adama, Abrahama, Mojżesza, Jezusa Chrystusa i pieczęci Proroków, Proroka przeszłości i przyszłości—Mahometa.

Okres pierwszy, ciągnie się trzy tak nazwane *Czylle* *), to jest sto dwadzieścia dni; cztery następne okresy trwają tylko po jednej *czylli*. W przeciągu całego tego czasu, nauczyciel ciągle czuwa nad uczniem; wyjaśnia mu Koran zwracając szczególniejszą uwagę na zasady Szariatu i Tarygatu; wprawia go

*) *Czylle*, czterdzieści dni.

do ustawicznych postów i modłów, które pod koniec coraz się bardziej powiększają i ciągle dąży do tego, żeby zasady Miurydyzmu w takim stopniu zostały własnością jego ducha, w jakim pięć zmysłów są własnością ciała.

Według filozofii Mahometanskiej, siedliskiem władz umysłowych jest serce, a nie głowa; na tej więc zasadzie, Miurszyd niecielesnym okiem, dostrzega pięć faz, przez które przechodzi ich organ myślenia. I tak w pierwszym perjodzie, serce ucznia ma wydawać światłość szczero-złotą, a skoro się wznieść do przyjęcia prawd wyższych okresów, wtenczas po kolei przybiera barwę czerwoną, białą, czarną, nareszcie zieloną, to jest prawdziwą barwę Proroka.

Oprócz tego są jeszcze różne kręgi, przez które Miuryd przechodzi, jakoto krąg wielki, mały, krąg zaprzania, się, umocnienia, i nareszcie znikania.

Ostatni ten krąg tak trzeba pojmować, że przez zbyteczne posty: modły i kontemplacją, ciało pacjenta niknie i słabiej, a natomiast dusza wznosi się do samowiedzy, jasnowidzenia i jedności z Allahem.

Kiedy Miuryd wejdzie w pierwszy krąg duchownego kształcenia się, to oprócz zwyczajnych modłów, powinien codzień pięćset razy głośno powtórzyć znajomą formułę: *La ilah illa Allah, Muhammed ressul Allah*. Temu pobożnemu ćwiczeniu towarzyszą różne symboliczne pokłony i rzucania się głową i rękami. W ostatnim zaś kręgu, już niegłosem, ale sercem, powinien *La ilah*. . . . Pięć tysięcy razy wyńmówić. Nic więc dziwnego, że wszystko to razem wzięte, jest dostateczną receptą na zrobienie ogromnego fanatyka; — fanatyka, co gotów polecieć w ogień i wodę na każde skinienie swego mistrza.

Nie raz miałem zrzeczność poznać bliżej tych panów, i zauważyłem że się dobrze usposobili, i że szczerze chęci wytepienia Giaurów ani trochę w nich nie ostygły.

Kady Mulla Mahomet powrócił do Jarag, i zaraz się najgorliwiej zajął propagandą. Tłumy ludu zgromadzały się koło niego, a szacunek jaki u swych rodaków posiadał, wzmagał się jeszcze bardziej, skoro się dowiedziano, że i pobożny Chadży Izmail, stanął na czele nowej poprawczej sekty.

Jedną razą, kiedy Kady osądził że umysły dosyć są przygotowane, po skończonem nabożeństwie, powiedział następne kazanie, które tu załączam, jako zupełnie charakteryzujące dążenie nowej tej sekty.

„Bracia (mówił Mulla Mahomet), nie jesteście bałwochwalcami, ale i Mahometanami nie można was nazwać. Prawdziwa wiara proroka inne ma zupełnie zasady.

„Mahometanin nie może być pod władzą niewiernych, Mahometanin nie może być niewolnikiem; nikomu a nawet współwyznawcy, nie powinien płacić haraczu.

„Każden Mahometanin, powinien być zupełnie wolnym; bo wszyscy Mahometanie są ludźmi zupełnie sobie równymi.

„Kto chce być prawdziwym Musliminem, ten powinien iść na Gazawat *), i powinien ciągle wypełniać wszystkie wymagania Szariatu.

„Kto wypełnia Szariat, ten powinien poświęcić wszystko, a nawet własne życie dla dobrej sprawy; ten powinien wziąć oręż, rzucić dom i rodzinę; a kto mnie posłucha, i kto sercem

*) Gazawat, wojna święta.

przeniknie moją radę, tego Bóg, w przyszłym życiu, sownie wynagrodzi.

„Kiedy jesteście pod władzą niewiernych, lub czyjąkolwiek bądź, wszystkie wasze Namazy (modlitwy), posty, pielgrzymki do Mekki, ofiary dane ubogim, a nawet czytanie Koranu, nie mają najmniejszej wartości a związki ślubne i dzieci wasze są nieprawem.

„Bracia! pamiętajcie że na ziemi jesteśmy tylko gośćmi, że z czasem wszyscy przeniesiemy się we właściwe nam miejsca, żeby tam znaleźć, wieczną radość, lub zatracenie.

„Prorok nasz powiada: ten jest prawdziwym Musliminem, kto nie szczędzi ani życia, ani majątku, kto, wypełnia słowo Koranu, i kto rozszerza Szariat.

„Prorok jeszcze powiada: postępujący zgodnie z memi przykazaniami, postawion będzie na tamtym świecie, wyżej od wszystkich Świętych, którzy mnie poprzedzili.

„Bracia! przysięgnijcie mi, że się wyrzekacie wad waszych, i że nadal będziecie unikać grzechów co tak was trapią i nawiedzają. Dnie i noce przepędzajcie w meczetach, zanoście gorące modły do Boga, proście żeby On zlitował

się nad wami. Za pomocą wyższego natchnienia, objawię wam chwilę podjęcia broni przeciw Giaurom, a teraz płaczcie i módlcie się.

„Ja, największy grzesznik całego świata, proszę was o przebaczenie, jeżeli słowem lub myślą obraziłem was kiedykolwiek;—ja już wyrzekłem się spraw doczesnych..”

Słowa te wywarły pożądany skutek, fanatyzm owionął wszystkich, meczety stały ciągle otworem, nie tylko dorośli, ale i dzieci, modląc się ze łzami, obiecywały poprawę.

Tymczasem wieść o Miurszydzie przebiegała po całym Dagestanie, i lud zewsząd zaczął się cisnąć do Jarag, żeby usłyszeć i zobaczyć Kadego. Miurydowie Jagarscy, chodzili po sąsiednich aulach, obracali się ciągle ku północy, i wywijając drewnianemi pałaszami, krzyczeli—*Gazawat! Gazawat!*

1824 roku, Aslan, Chan Kazy-Kumucha, otrzymał rozkaz, zalecający mu uspokoić fermentujące się umysły w posiadłościach Kiuryńskich. Chan wziął się do roboty, i natychmiast zapotrzebował do aulu Kazim-Kent, Mułłę Mahometa, wraz z innymi Mułłami.

Przywódcy Miurydyzmu stanęli przed Chanem, który się zdziwił niepoślednio, gdy zamiast usprawiedliwień usłyszał następną przemowę Kadego.

„Słuchaj Chanie! (mówił Kady) Bóg jest silniejszym od wszystkich mocarzy świata, nie się tu nie dzieje bez jego wiedzy i woli; około małego jego palca obraca się cały świat, i wszystkie sprawy codzienne; coż więc dziwnego, że ciągle coś się staje i coś się dzieje zupełnie nowego. Pytam się Ciebie Chanie, co komu szkodzi, że Miurydzi krzyczą *Gazawat*, i machają drewnianymi szablami. Ja się cieszę z tego; bo zauważyłem że Muslimini stali się przykładniejszymi, pojęli świętą prawdę i zaczęli myśleć o Niebie.

„Ja sam wzgardziłem już marnosciami tego świata, i Tobie Chanie radziłbym wyrzec się korzyści doczesnych, i pomyśleć o tém, że wszyscy zacząwszy od niewolników, aż do najpotężniejszych władców staniemy kiedyś przed obliczem Allaha. Wierzaj mi Chanie, że nie ma wiecznego zbawienia, bez wypełnienia Szariatu.

„Chwalisz się życiem zgodnem z ustawami

Koranu; pod jarzmem Giaurów cóż znaczy wypełnienie Szariatu? ...

Aslan Chan siedział na rozeslanym dywanie, a usłyszawszy ostatnie słowa, przestał kurzyć kalian, zerwał się, przyskoczył do Kadego i dał mu policzek.

Później Chan znowu usiadł, zamyslił się, i zmusił wszystkich Mullów skakać przez kij za karę; sam zaś kurzył kalian, i przypatrywał się tej gimnastyce.

Później zaczął poziewać, i powiedział swym gościom, że chce spać, i że mogą sobie jechać do domu; zapowiedział im tylko nawiasem, że jeżeli Miurydyzm rozszerzać się nie przestanie, to za pośrednictwem jego władzy, rozpuchną i rozszerzą się ich pięty.

Mulla Mahomet wrócił do Jarag, i z większą jeszcze gorliwością niż wprzód, krzątał się koło spraw niedoczesnych. Rozkazał wszystkim działającym Miurydom podwoić swoje starania, ale razem i otoczyć się jeszcze większą tajemniczością.

Sam zaś szczególnie pracował nad Mullami przybyłymi z gór i z niepodległych zaścianków Dagestanu, usposabiał i wykształcał ich na gor-

liwych Miurydów; a kiedy się przekonał, że już przeszli przez wszystkie kręgi i fazy wyprawił w góry gotowych fanatyków, przemówił do nich w następujący sposób.

„W imię Proroka, rozkazuję wam powrócić do waszych ziem rodzinnych. Idźcie i czuwajcie, a kiedy przyjdzie pora, wtenczas wszyscy razem zaczniemy działać. Zgromadzajcie lud, wykładajcie waszą naukę, opatrzcie się bronią i bądźcie gotowi na każde zawołanie.

„Kiedy usłyszycie krzyki *Gazaat! Gazaat!* co się będą rozlegać po wszystkich górach, wtenczas śpieszcie na wroga.

„Hasłem waszym niech będzie: zniszczenie Giaurów i swoboda Braci.

„Kto zabije nieprzyjaciela, lub sam polegnie, raj dla niego otworem; lecz jeżeli pierzchniecie z pola bitwy, jeżeli pieniądze, kłamliwe obietnice zdołają was upokorzyć, — biada wam! Meczety wasze będą obrócone na cerkwie, a wy, co do tego dopuscicie, obawiajcie się sprawiedliwego gniewu Allaha, obawiajcie się płomienia Dżechenemu.

„Ale nie, wiem że to nigdy nie nastąpi, jesteście waleczni, siła natura obrania nasze

ziemie i robi je niedostępnymi. Tam jeden Mahometanin, może stanąć przeciw dziesięciu niewiernym. Walczcie, i ufajcie temu, kogo ja Gazim naznaczę; a kto wytrwa do końca zostanie Świętym i pozna roskosze raju.

W tymże samym czasie kiedy zaczęli do Jarag przybywać Mullowie, młodzieniec kształtnej postaci, zajmujących rysów twarzy, z przenikliwymi oczyma, pędził przed sobą osiołka, objuczonego dwoma koszami. Młodzieniec stanął przed domem kadego, i oznajmił że chce widzieć świętobliwą osobę Mulli Mahometa.

— No, co powiesz dobrego — zapytał Kady, siadając na dziedzińcu w cieniu rozłożystego drzewa.

— Pokłon ci Mullu Mahomecie, — odpowiedział przybyły — przywiozłem ci maleńki podarek, są to winogrona, jakich nie macie w waszej okolicy.

— O mój drogi chłopaku, przyznam ci się że nie lubię podarków, ja sam tylko lubię darowywać; — a od kogoż to przywiozłeś.

— Od siebie, zachy Kady.

— Zapewne jesteś bogatym, musisz posiadać ogromne sady?

— O nie, ja jestem tylko przekupniem, handluje owocami, i prócz tego osiołka, nie więcej nie posiadam. Mógłbym być czemś lepszem, uczyłem się długo, i sam Mulla zostałem; mógłbym uczyć tych, co nie nie umieją, ale zauważyłem, że to praca niewdzięczna. Głowy naszych Prawowiernych dziwnie jakos skoszlawiały i skamieniały, nie pojmują Koranu, nie pojmują Szariatu, cóż bym ja z niemi począł? O! nie wyrzekłem się ja nauki, ale oświadczyłem, że czasem korzystniej pracować dla żołądków, aniżeli dla głów?

— Słuchaj młody wędrowcze, o ile głowa wznosi się nad żołądkiem, o tyle serce wznosi się nad głową; nauka to drabina, ja zawsze ubolewam, jeżeli kto stoi na niższych szczeblach i nie chce podnieść się wyżej. Widzę wszelako, że myślisz i wiele pojmujesz; powiedz mi skąd jesteś?

— Urodziłem się w Himrach, i teraz ztamtąd przybywam; bo aż tam Alimie, o tobie zasłyszałem.

— Jakże się nazywasz?

— Nazywam się Mulla Mahomet, to jest nazywamy się oba jednakowo, ale ja i twoim

ciemieniem nie jestem być godzien. Ja tylko jestem naczyniem takiegoż kształtu, jak ty. Jeżelibyś zechciał Alimie to naczynie napelnić, jeżelibyś zechciał udzielić swojej mądrości; jestem zdolnym i pracowitym, dla prawdziwej nauki znówubym się wyrzekł świata, i może byłbym szczęśliwszym.

We dwa lata po tej rozmowie, młody Mulla wykształcił się na wybornego Miuryda, a piękna Aissa, córka Kadego, została jego żoną. Kady był zupełnie oslepionym zdolnościami swego zięcia, przeczuwał w nim nawet ogromne militarne zdolności, i mianował go Gaziem i Imamem *).

W roku 1829, pierwszy Imam na Kaukazie, wystąpił po raz pierwszy, na czele kilku tysięcy różnoplemiennych fanatyków. Pokuszenia jego były na większą skalę, często mu i szczęście sprzyjało, działał zaczepnie, trzymał nawet w blokadzie większe fortece, aż w roku 1832, broniąc swe rodzinne Himry, na szturmie zo-

*) Gazi, oznacza prowadzącego i wojnę, a Imam to głowa duchowieństwa.

stał zakłuty bagnietami. To ten sam Kazi-Mulla *), co w przeciągu czterech lat zwrócił uwagę całej Europy na Kaukaz, i napelniał gazety ciągłymi biuletynami o swych najazdach i bitwach z Rossyjskimi wojskami.

Podczas wzięcia Himrów, rozbici Miurydzi rozpierzchnęli się na wszystkie strony, sześćdziesięciu z nich tylko zaparło się w baszcie, postanowiwszy walczyć do końca. O samym Kazi-Mulle chodziły różne wieści; niektórzy utrzymywali, że razem z innymi wyratował się tchórzowską ucieczką.

W kilka dni później, w baszcie, koło strzelnicy, znaleziono ciało Imama przywalone gruzami. Zabity miał taką postawę: prawą ręką wskazywał na Niebo, a lewą miał ujętą brodę.

U Mahometan taka postawa podczas zgonu, oznacza świętość zmarłego, i to było dostatecznym, żeby jeszcze bardziej podnieść fanatyzm Górali.

Chas Mahomet, i Chadzi Izmail Effendi, zniknęli zupełnie ze sceny.

*) Kazi, to przekręcone Gazi; właściwie wypadło go nazwać Gazi-Mulla.

Pierwszy niewiadomo gdzie przepadł. Drugi, jako zamieszkały w Prowincyi od dawna zawojowanej, obawiał się podejrzenia rządu, i z całą rodziną przeniósł się zupełnie do Arabii.

Sprawami Miurydyzmu, kierował ciągle starszy Miurszyd, Mulla Mahomet; ten dowiedziawszy się o zgonie swego zięcia, zaczął gorliwiej działać, i naznaczył nowego Imama, Hamzat-Bega, od czterech już lat sławnego mężem i wielkiem zaufaniem u wszystkich Miurydów.

Pierwszą myślą Hamzat-Bega było zajęcie Awaryi.

Bogate to Chaństwo, zostające pod protekcją Rossji, dało już raz silny odpór Kazi-Mulle; lecz Miurydyzm i tam się rozszerzał, i nowy Imam nie tracił nadziei.

W roku 1834, mając pod swemi rozkazami do 12, 000 Górali, Hamzat wyruszył na Awaryję, zajął kilka anów, z których sami mieszkańcy zaciągali się pod jego chorągwie, i stanął obozem pod Hocatlem. Obronne to miejsce już z natury, opatrzył jeszcze fortyfikacjami naprędce zrobionemi, i zaczął się porozumie-

wał z młodym Abu-Nuncalem, Chanem Awarji, nie wyjeżdżającym ani na krok, ze swej niedostępnej stolicy.

Wyprawiana deputacja Hamzata oznajmiła młodemu władcy, że Imam dla dobra ogólnej sprawy, chce go przyznać naczelnym wodzem swych wojsk, jeżeli się zgodzi w obec swego ludu wykonać przysięgę na Gazawat. Chan nie przyjął tej protekcji, ale zauważano że i w samym Chunzachu nie wszyscy sprzyjają młodemu Chanowi, i że jego matka, stara Pachu-Bike, doradzała mu przemieścić się do Rossji, i działać za jedno z Imamem.

Po otrzymaniu tak pomyślnych dla siebie wiadomości, Hanzat-Beg, podstąpił pod Chunzach. Tymczasem Pachu-Bike, podziałała zupełnie na Abu-Nuncala, i wyprawiła młodszego swego syna, szesnastoletniego Oma-Chana, do obozu nieprzyjacielskiego, żeby się porozumieć z Imamem. — Oma-Chan pojechał, i długo nie wracał; zniecierpliwiony Chan Abu-Nuncal, wziął z sobą kilku Nukierów, i również się udał do nieprzyjacielskiego obozu.

Jak tylko oznajmiono o przybyciu Chana, Hanzat-Beg wybiega na spotkanie, wraz z Oma-

Chanem, okazuje Władcy Awarji prawie niewolniczą uległość i zaprasza do swego namiotu.

Zaledwie zrobili kilka kroków, gdy za danym hasłem, swisnęły kule gwintówek, i Chańscy Nukierzy byli na miejscu.

Czapan-Beg, krewny Hanzat-Bega, przyskoczył do Oma-Chana, obaj wystrzelili razem z pistoletów i upadli; — pierwszy został ciężko ranionym, a drugi zabitym.

Co zaś do samego Abu-Nuncala, ten chociaż już raniony, dobywa szaszkę, kładzie na miejscu dwóch stojących koło siebie, gdy w tém Miuryd Machmud-Jawa rozrąbał mu twarz. Młody Chan nie traci przytomności, przytrzymuje odpadające ciało, i rzuca się naprzód, żeby sobie utorować drogę.

Tu opowiadania naocznych świadków mężstwa i siły młodego Chana podnoszą go do cudowności. Abu-Nuncal walczy tam i zabija daleko dzielniej niż bohaterowie Troi.

Opuścimy nieprawdopodobną liczbę przez niego zabitych i ranionych, a dodamy tylko że Chan musiał niezłe rąbać, kiedy zdołał odeprzeć napastników, i już wywinął się na czyste pole.

W tej właśnie chwili powszechnego zamie-

szania i przerażenia, rozległ się następny głos jednego Miuryda: „Strzelajcie! Strzelajcie! Walczycie przeciw Urusom, nie boicie się ich dział i bagnetów; a teraz nie wicie co począć z jednym młokosem. — Strzelajcie!”

Dano ognia z kilkudziesięciu broni i Abu-Nuncał upadł krwią obłany. — Miuryd, co przemówił do swych towarzyszy nazywał się Dżemil.

Tak się zakończył pierwszy akt Awarskiej dramy, a kiedy stolica otworzyła swe bramy, kurtyna znowu się odkryła, i znowu krew się polała.

Najprzód, zleciała pod toporem głowa Chanowej Pachu-Bike i najmłodszego czternastoletniego jej syna Bałac-Chana, później, na rzeź i mordy skazano kilka rodzin najbardziej przychylnych Chanowi. Piękna Hajbat-Bike, żona Abu-Nuncała, siostra Szamchała Abu-Muslima, będąca wtenczas w poważnym stanie, winna była swe ocalenie zamieszaniu sprzyjającemu jej ucieczce.

Hamzat-Beg zajął Chańskie zameczysko, i gospodarował w całej Awaryi, jak we własnym domu; wkrótce potem wyruszył na ziemie An-

dałałów, lecz ztamtąd został wypartym. Po tej nieszczęśliwej wyprawie, Imam ciągle w zamiarze opanowania całego Dagestanu, na czele piętnastu tysięcy, wystąpił przeciw Rzeczypospolitej Akuszyńsko-Cudacharskiej; lecz tam nie więcej wygrał, gdyż był zupełnie rozbitym, i musiał się znowu cofnąć do Awarskiej stolicy.

Wróciwszy do Chunzachu, Hamzat-Beg znowu zgromadzał swe siły, i robił przygotowania do powtórnego napadnięcia na Akuszę, ale w tymże samym czasie i nad głową morderey zbierały się nieprzyjazne chmury.

Do liczby przybocznych Miurydów i fanatyków Hamzat-Bega, należeli dwaj Awarzy, rodzeni bracia, Osman i Chadży Murat, młodzi bracia zabitego Oma-Chana. *)

Jedną razą, dwaj bracia opowiadali swemu ojcu, mieszkającemu w Chunzachu, o bitwach stoczonych z nieprzyjaciółmi wiary, i o różnych cudach waleczności i swoich i cudzych. Sędziwy starzec słuchał i milczał, a kiedy mówić

*) Młeczny brat (Imczek), zostaje w wielkiem poszanowaniu u plemion Kaukaskich; to znaczy u nich tyleż co i najbliższe pokrewieństwo.

przestali, powiedział im, że nie wierzy waleczności zdrajców.

Zdziwieni bracia, nie pojmujący kogo ojciec zdrajcą nazywa, zaczęli się go dopytywać z wielką pokorą i uszanowaniem.

Chan, w ostatniej chwili swego życia powierzył mi swych synów, mówił starzec, wychowywałem ich, wasza matka wykarmiła jednego z nich swą piersią. Waszego Imezeka zabił Hamzat Beg, a wy liżecie jego stopy. — O! choć drżącą ręką potrafię sam zemścić się, a wy samochwalecy służcie fałszywemu Imanowi; służcie, aż zostaniecie współmordercami własnego ojca, co nigdy nie poszczędzi życia za przelaną krew swych prawych Władców.

Słowa starca magicznie podziałały, zagłuchoły powinności Miuryda, obudziły się obowiązki zemsty, i obaj bracia wykrzyknęli:

— O! jeżeli tak drogi ojciec, to my jutro zabijemy Hamzat-Bega, i w jego krwi obmyjemy naszą hańbę i nieprawość.

— Niech Allah wam dopomoże, — wyrzekł ojciec — i uściskał swych synów.

Tegoż samego dnia, dwaj bracia zebrali u siebie mnóstwo przyjaciół, i wspólnie uchwa-

lili śmierć Imama. Wszyscy wykonali przysięgę. — Dżuma (piątek), naznaczonym był na popelnienie zabójstwa; a meczet uznano za najdogodniejsze miejsce, ponieważ Hamzat Beg w dni świąteczne bywał zawsze na nabożeństwie.

Jednym ze sprzymierzonych był Machmud-Jawa, stryjeczny brat Osmana i Hadży-Murata, ten sam który rozrąbał twarz Abu-Nuncała. Jawa, żeby nie być przez nikogo widzianym, późno już w nocy przekradł się do Hamzat-Bega, i powiedział mu wszystko, ale Imam tak był zaslepiiony i tak zaufał dwóm braciom, że ani trochę nie wierzył.

Błysnęła mu tylko myśl, że to nie jego ulubienicy, ale ktoś inny, knuje złe zamiary. Na wszelki więc wypadek dał rozkaz, żeby Miurydzi składający jego straż, byli czujniejsi niż za zwyczaj, żeby go ciągle mieli na oku, i byli w pogotowiu na każde jego skinienie.

Nastąpiła Dżuma. Muezin donośnym głosem wzywał na modlitwę i Awarzy ze wszystkich stron zaczęli się schodzić do Meczetu; zdziwiła ich tylko, u wszystkich wejść nie zwyczajna czujność i straż Miurydów.

Z Chańskiego zamku, już szedł i Imam otoczony ulubionymi Miurydami.

Zaledwie Hamzat-Beg pokazał się na progu, gdy Osman, siedzący pośrodku meczetu, powstał i temi słowy zawołał.

— Czemuż nie wstajecie, kiedy widzicie że idzie Wielki?

Hamzat-Beg przeszedł i stanął na przodzie, z lewej strony.

Mulla, odprawiający nabożeństwo długo marudził; oczy wszystkich przytomnych, zwrócone ciągle były na Imama.

Zauważano, że w pół godziny po jego przyściu wprost z podwórza wszedł jakiś Miuryd, przybliżył się do niego, i coś mu szeptał na ucho. Było to uwiadomienie, że tłumy uzbrojonych Awarów, krążą koło Meczetu.

Hamzat-Beg zbladł, nie odpowiedział, wskazał tylko ręką Miurydowi, żeby został w Meczecie. Później potarł sobie czoło, poprawił biały zawój zacisnął wargi, i znowu się zaczął modlić.

Kiedy się nabożeństwo skończyło, Hamzat-Beg pierwszy ruszył się z miejsca, podszedł do dwóch braci i zapytał.

— Czy to prawda, że macie krwawe zamysły?

— Prawda, — odpowiedzieli bracia, — przysięgliśmy i spełniemy naszą przysięgę.

Z ostatniemi słowy kule dwóch pistoletów trafiły w serce Imama.

W tymże samym momencie, rozległy się inne wystrzały, i Osman legł obok trupa Hamzat-Bega.

Hadży-Murata, wyratowała szybkość, z którą przysiadł po swoim wystrzale. Kule w niego wymierzone, przeleciały nad jego zawojem. Hadży-Murat, nie tracąc czasu, cisnął swój zawój o ziemię, i krzyknął:

— Wkrótce nie będzie żadnego Miuryda, — kto ma biały zawój, niech zrzuci; — teraz czas się zemścić za naszych Władców, zdradziecko zamordowanych.

Pod sklepieniami Meczetu rozległy się wystrzały, Awarzy czatujący u wehodów, nie wypuszczali uciekających Miurydów, Świątynia napełniła się dymem, pociemniało zupełnie, i już w niej tylko błyszczały Awarskie kindżały.

W tak ogromnem i niespodziewanem zamieszaniu, Miurydzi nie mogli się opamiętać; nie

przygotowani, rozpierzchnięci po całym miasteczku, zaczęli się wynosić na czyste pole;—kto nie uspiął się wymknąć, ten został na ulicy zakłutym.

Mnóstwo jednak Miurydów, zatarasowało się w Chańskim zamku, i zawaliwszy okna różnemi sprzęty, sami prawie niewidzialni, utrzymywali ciągle silny ogień niedając nikomu przedrzeć się do wnętrza.

Już kilkunastu Awarów, co się było puściło na szturm okien, zostało zabitych, kiedy Hadży-Murat, przybliżywszy się z głównią w rękę, zaczął podpałać, a zachęcając i innych, tak do nich wykrzyknął:

— Hej bracia, podpalajcie ze wszystkich stron! Podpalajcie! Podpalajcie! Mściciele krwi Chanów, mogą niszczyć ich gniazdo!

Wkrótce, cały gmach objęły płomienie, i dwóch tylko Miurydów wyskoczyło z okna, najmniej pilnowanego. Jednym z nich był Machmud Sawa, a drugim Dzemil, pierwszego dopędzili i spalili;—dziwnym jakimś sposobem, drugi uciekł szczęśliwie.

Po tych krwawych scenach, kiedy Imam był zabitym, a lepsi Miurydzi wyrębani, sprawy

rozpierzchniętych Górali, znova były w wielkim nieładzie.

Kady Mulla-Mahomet, już nie żył.

W górach rozeszła się pogłoska, że w jakimś tam meczecie, leżał zapieczętowany testament Kadego, na którym zwierzchu, własną jego ręką napisane były następujące słowa:

„Po śmierci Hamzat-Bega (któremu oby Bóg przedłużył życie do późnej starości), Prawowierni, rozpieczętują te papiery i przeczytają w obecności najwaleczniejszych Miurydów. Tak mieć chce, Miurszyd Mulla Mahomet.”

Zebrał się Miurydzi na wskazane im miejsce, rozpieczętowali testament, i znaleźli w nim imię nowego Imama Dzemila, już trochę czytelnikom znajomego.

Znaleźli tam jeszcze mianowania trzech innych jego następców, w odrębnie zapieczętowanych pakietach, na których widać było numer 2gi, 3ci, 4ty; byli to według porządku następcy, na wypadek śmierci Imamów; nikt nie wiedział ich imion. Dzemil żyje dotychczas, a pieczęć ukrywa zagadkowe brzmienia i całą przyszłość Górali.

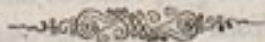
Wiadomo tylko, że Mułła Mahomet przelał całą swoją władzę na rzecz Imamów, i postanowił, że odtąd wódz Miurydów powinien zawsze naznaczać czterech następców, szykując ich pierwszeństwo według osobistych zasług i zdolności.

Dzemil dołączył jeszcze jedno niedostające imię, naznaczył karę śmierci dla ciekawych, którzyby chcieli odkryć misterją Kaukaskich Imamów; i dał się słyszeć, że o następcach, on tylko jeden wie z pewnością, i to przez objawienie, — głos z Niebios dał się mu słyszeć, i wyszeptał tajemnicze imiona.

Nowy Imam objął rządy, wojnę prowadził ciągle ze zmiennem szczęściem; nie można mu jednak nie przyznać wielkich zdolności i wyższości nad jego poprzednikami.

Szczególniej poszczęścił mu się rok 1843ci, opanował on wtenczas kilka mniejszych fortów w Dagestanie, i sam Chunzach, które bardzo mu był potrzebnym. Wtenczas to właśnie zabrał i działa, których dziś liczy do czterdziestu, zaprowadził u siebie wyborną artylerję, zmienił zupełnie strategję, i zaczął wojować na większą skalę.

Opiszę tu ekspedycje, w których sam uczestniczyłem, i w których raz nawet miałem zrzęczność zajrzeć w oczy tego Kaukaskiego Abdel-Kadera, choć tylko przez perspektywę pochodową. —



Rok 1843 bardzo był niefortunnym, i sama Temir-Chan-Szura długi czas była w blokadzie, Górale wszędzie gospodarowali, między Szurą i Derbentem, przecięli zupełnie komunikację, wyrąbali pikiety, i spalili pocztowe domy.

W wielu prowincjach, zupełnie neutralnych, lub podwładnych Rossyi, puściwszy się na mord i pożogę, zmusili mieszkańców do zaciągania się pod swe chorągwie.

Terroryzm Miurydów, podział i na Rzeczpospolitą Akuszyńsko-Cudacharską; rolniczy tam lud, od niepamiętnych czasów nie mieszca-

jący się do żadnych wojennych zatargów, zmuszony był uzbroić się i powiększyć zastępy Dzemila.

Chanstwo Mechtulińskie, i samo nawet Szamchalstwo, niecierpiące Miurydyzmu i podwładne Rossyi, widząc że upędzają ich trzody i niewczą dostatek, również przymuszone były wykonać przysięgę na wierność Kaukazkiemu Imamowi.

W roku 1844, kiedy Dzemil cofnął się w głąb' gór, a w Szamchalstwie i w Mechtulii zaczęło przychodzić do dawnego porządku, w Szurze zbierały się Rossyjskie wojska, i robiono przygotowanie do ogromnej ekspedycyi.

Najważniejszą było rzeczą pokazać się w Akuszy, i oswobodzić jej mieszkańców od wpływów Miurydyzmu.

Bogata ta prowincja, ma mnóstwo uprawnych dolin; jest to jedyne miejsce w Kaukazkich górach, gdzie nawet na polu można zobaczyć sterty jęczmienia, żyta i pszenicy. Górale od dawna na Akusze ostrzyli swe zęby, i nazywali ją spichlerzem gór. Jeżeliby Dzemil zdołał zupełnie, przeciagnąć tę choć niewielką Rzeczpospolitą na swoją stronę; otrzymałby ztąd nie-

wyrachowane korzyści, i mógłby działać daleko większemi massami.

Często się zdarzało i zdarza, że Imam, nie mając środków zrobienia większych zapasów żywności, (Akuszyńcy przed 43 rokiem, nawet za pieniądze nie sprzedawali mu zboża), i nie raz przed czasem, o połowę musiał zmniejszyć swe hordy. Często nawet zupełnie je rozpuszczał i pozostawał tylko z kilką stami przybocznych Miurydów. Przyrowadzenie więc rzeczy w Akuszy do dawnego trybu, było nie tylko ważnem, ale nawet nieodbicie potrzebnem.

Dnia 2 (14) Czerwca, 1844 r. wystąpiliśmy na Akuszę.

Oto już, *Ferunt taurea terga manus*, i z Szury wywija się kilkaset kozaków, cztery bataliony piechoty, i ośm górnych dział; co wszystko stanowi tylko przednią straż, mającą czuwać na granicach Machtulińskich. We trzy dni później, miały się z nami złączyć główne siły, i dopiero wtenczas mieliśmy rozpocząć działania, jednak — stało się zupełnie inaczej.

Zrobiwszy dobre dwie mile, nasza przednia straż już była na granicy Mechtulińskiego

Chaństwa; tak wszystko było jeszcze niepewnem w Dagestanie, że nie mieliśmy najmniejszej potrzeby zbliżyć się do Aulów, — stanęliśmy więc na czystem polu.

Na drugi dzień, to jest 3 (15) Czerwca, dowódzca przedniej straży (Jenerał Passek), otrzymawszy wiadomość od wysłanych na zwiady, że niewielkie nieprzyjacielskie partje biwakują nie daleko od nas, umyślił zrobić rekonesans.

W tym więc celu, w parę godzin po wschodzie słońca, wyruszyliśmy z miejsca. Małeńki nasz oddział składało trzystu kozaków, siedm kompanij piechoty i cztery działa; słowem wszystkiego do dwóch tysięcy żołnierzy.

Już uszliśmy dobrą milę, kiedy ze spadziści jednego wzgórza, dostrzegliśmy w dali pod górą, piętrzący się aul Aka-Szura, około którego czerniały tłumy narodu. Widać że oglądani musieli i nas dostrzedz; bo liczne bandy pieszych i konnych, zaczęły do nas zbliżać się i wywijać się na obszerną dolinę, leżącą między nami i aulem. Wtenczas dostrzegliśmy, że i dalsze wzgórza były zupełnie pokryte Góralami. Spotkanie tak ogromnych sił było zupełnie niespodziewanem.

Z prawej strony przed nami, na wznioślejszym pagórku, Jenerał i oficer od kwatery strzowstwa, rozpatrywali miejscowość przez perspektywy. Koło nich stało trzech czy czterech innych oficerów z wzrokiem wyteżonym na dolinę, aul i dalsze góry. W kilka minut później, Jenerał stanął pośród otaczających go, zaczął coś mówić i ręką wskazywać, później coraz zwawiej rozmachiwał na wszystkie strony obiema rękami. Jenerał liczył wszystkiego lat trzydzieści, i był temperamentu krwistego, — łatwo było domyślić się, że będziemy mieli zajadłą bitwę w dolinie.

Kazałem trzeciemu numerowi od mego działu (wtenczas byłem już podoficerem i artylerzystą), poprawić zapalony lont, a czwartemu opatrzyć puszkę z przypalniczkami.

Kiedy Jenerał siadł na konia, pierwszym jego rozkazem było, żeby kozactwo cofnęło się na tył; widać że więcej liczył na piechotę, i chciał zacząć karabinową rozmowę. Oddziałowi zakomenderował na lewo, a to dla tego żeby zająć sam środek doliny.

Ledwie rozwinął się batalion piechoty w szyku bojowym, i tuż za nim dwa działa; kiedy

nieprzyjacielska kawalerja z dosyć dalekiej mety, osypała nas gradem kul z gwintówek.

Jenerał krzychał donośnym głosem: przyspieszyć kroku! przyspieszyć!!

Piechota pobiegła, wtoczyła się na dolinę, krzyknęła: Hura! i odpowiedziała karabinowemi wystrzałami.

Nieprzyjacielska kawalerja wahała się, stała na miejscu, wtenczas piechota rozdzieliła się i odprzodkowane dwa działa zagrzmiały.

Cały front nieprzyjacielskiej kawalerji osypany był kartaczami.

Znowu zagrzmiały te same działa, kawalerzyści odstrzelili się, ale widocznie poczęli się mieszać, środek ich kolumny rozrzedził się, a skrzydła były w wielkim nieładzie.

Mnóstwo dymu nie pozwalało dobrze się rozpatrzyć. Wszelakoż można dostrzedz było, że w tymże samym czasie ciemne massy, jak potok gór co się wyrwał z koryta rozlewa i grozi powodzią, wyszły z przepelnionych brzegów zdając się jakoby chciały pochłonąć wszystko co było w dolinie.

Dym rozrzedził się na chwilę, i dostrzegłem

jedno długie wzgórze, jeszcze Góralami zapelnione, widać że to były ich siły odwodowe.

Nie tylko od frontu, ale i z prawej strony, utworzyła się nowa bojowa linija, z której tłumy Góralskiej piechoty zaczęły naciskać. I tam grzmiały postawione dwa działa, i piechota silny dawała odpór. Ciągły huk dział, i wystrzałów ręcznej broni przerywały niekiedy posępne wykrzyki.

Artylerja, prawie bez przerwy, utrzymywała wyborny ogień.

Na linji z prawej strony, Górale mniej naciskali; potem, zaczęli się po trochu cofać, i łączyć z działającymi od frontu.

W tej samej chwili, z naszej strony przestawiono działa na główną liniję; a ze strony nieprzyjacielskiej zatknięto w ziemię mnóstwo różnokolorowych chorągwi, koło których zalegli w bujnej trawie Górale.

Od naszej bojowej linii na której stały działa, do głównej linii Góralskiej wytkniętej chorągwiemi, było nie więcej jak kroków dwadzieścia. Wysoka bujna trawa, zajmowała całą tę przestrzeń. Prawdziwe aksamitne zielone łoża, dla poległych i mających jeszcze poledz.

Już Górale rzucili się z obnażonemi szaszkami, jeden z nich przyskoczył do tuż stojącego koło mnie dowódcy plutonu, wystrzelił z pistoletu dotknawszy się go prawie wylotem, i zabił na miejscu.

Konny trębacz, uwijający się ciągle za jenerałem, dał sygnał, żeby szeregi piechoty zaległy i nie ustępowały z miejsca. Raptem zrobiła się cisza; zdawało się, że chwila ta stanowi wszystko, że strona, któraby się wtedy choć na jeden krok cofnęła, przegrałaby sprawę.

Po tej krótkiej ciszy, kozacy zostający ciągle w odwodzie wysforowali się z lewego skrzydła do szarży z opuszczonemi pikami. Prowadził ich siwy jak gołąb' staruszek, i rzecz dziwna wszyscy na całe gardło jakąś nabożną pieśń zaśpiewali.

Wtenczas po raz pierwszy dały się słyszeć bębny. Piechota: Hura! krzyknęła, i rzuciła się naprzód bez żadnego rozkazu.

Jak dwie chmury naładowane piorunami, starły się napastnicze masy, błyskały bagnety, szaszki, piki, kindżały; wreszcie, Górale zachwiali się, podali tył, pozostawiali chorągwie,

i zaczęli zmykać w wielkim nieładzie, zostawiając wszędzie mnóstwo trupów.

Roznosiły się krzyki: wygrana! wygrana! każdy kłuł, rąbał, co wlazło. . . .

Pamiętam, że z chaosu tej wrzawy, dosłyszałem następny krzyk, jakby odrębny akord, bo wołanie — „Marcinie zakłuj go, zakłuj go, ten Miuryd strzelał do mnie dwa razy” — było w innej mowie.

Rąbano i pędzono zmykających prawie do samego aulu.

Artylerya nie mogąca działać od frontu, zwawo była przewieziona z doliny na wzgórze, leżące z prawej strony. Stamtąd osypywaliśmy kartaczami, sam środek zmykających; a później kiedy się oddalili, puszczailiśmy ciągle granaty, pękające już między Góralami, już w samym aule.

Piechota tak zajadłe walczyła, że nie zważała na trąbiony apel; a jedna kompanja, już nawet zaczęła aul szturmować, i długo wszyscy na nią czekali.

Nareszcie, walczni zebrali się na uprzednio zajmowaną pozycję.

Mogło być wtenczas około piątej po południu, słońce które podczas bitwy ciągle było za chmurami, rozjaśniło się i oświeciło pamiętną dolinę.

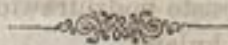
Wtenczas dopiero, zauważyłem na środku placu bitwy, dwa ogromne, bujne orzechowe drzewa, na których liście dziwnym jakimś sposobem zupełnie ocalały; kiedy nawet trzydziści z górą zabranych chorągwi, były wszystkie co do jednej rzęsisto podziurawione kartaczami i karabinowymi kulami.

Teraz na dolinie, po wojennej wrzawie, była ogromna cisza, leżało tam do ośmset nieprzyjacielskich pławiących się we krwi trupów, i tylko dwa czy trzy spłoszone, ranione może lecz osiodlane konie, rżały i biegały w różne strony.

Już po skończeniu zupełnem bitwy, złączyła się z nami, druga połowa naszego oddziału. Zostający w obozie długo wahali się, i nie wiedzieli co począć, — nareszcie choć późno, ale przyszli na pomoc. Przybycie ich, bardzo jednak było użytecznem, gdyż oprócz pięćdziesięciu zabitych, mieliśmy do stu pięćdziesięciu ra-

nionych, których trzeba było wieść konno, lub nieść na płaszczach.

Kiedy złączony oddział, wyruszył na powrót do obozu, trzeba było posłuchać, ile tam było hałasu. Trudno zawiązać gęby, kiedy kaźden ma co powiedzieć, ale i niecznośnie dla uszu, kiedy siedem kompanji, uczestniczących aktorów, opowiada krwawy dramat.



Wszystko to, co wyczytaliśmy w poprzednich rozdziałach, jest to nie wiele po-
 mać, nastąpił deszcz, popadł się drogę,
 i wzięliśmy się za rowy.
 Cały oddział wzięliśmy się do pracy,
 w ten sposób wzięliśmy się do pracy, i w góry,
 nie było konie nie było wydatne, ale nie było
 nie było konie nie było wydatne, ale nie było

VI

Na drugi dzień po pamiętnej bitwie, od-
 działowi naszemu rozkazano przybyć na
 powrót do Szury, i dopiero 14/26 Czerwca,
 wystąpiliśmy na Akuszę, ale już razem
 z głównymi siłami. Szliśmy znowu tą sa-
 mą drogą. Aul Aka-Szura był zupełnie pusty,
 przybyło tam tylko mnóstwo świeżych mogił,
 a mieszkańcy z powodu przyjęcia Miurydyzmu,
 i niefortunnego uczestnictwa w bitwie, wynieśli
 się w góry, z całym swoim majątkiem.

Wraz z Aka-Szurą zaczyna się pasmo gór,
 przez które trzeba było przejść. Za niemi na-
 stąpiły ich odnogi, krzyżujące się we wszystkie
 strony.

Mimo to, że wszystkie nasze ciężary były na grzbietach juczych koni, ale i to nie wiele pomagało, nastąpiły deszcze, popsuły się drogi, i wlekliśmy się jak żółwie.

Cały oddział zatrzymywały ciągle działa, bo w tych ciągłych wertepach, pod górę, i z góry, nie tylko konie nie mogły wydostać, ale męczyła się i pomagająca nam piechota, która trzymając się za liny, bez ustanku windowała działa na góry, lub opuszczała je na dół.

Po drodze widzieliśmy auly zupełnie puste, a czasem z góry za niedostępnym wąwozem, zdarzało się widzieć aul zupełnie w ustroniu, bez żadnej drogi; dostrzegaliśmy jednak, jak spłoszeni mieszkańcy, wybierali się zupełnie, w bardziej jeszcze niedostępne strony. Komiczny ten ich nieład, był zupełnie oryginalnym.

W jednym miejscu, gdzie nas przedzielał tylko głęboki parów, widzieliśmy ich z bardzo bliska.

W arbach naladowanych pościelą, i różnemi sprzętami jechały kobiety i dzieci. Z przodu, i z tyłu, pędzono krowy, bajwoły, konie, owce, osły, między którymi mężczyźni uwijali się na koniach, a małe chłopaki na osłach, często po dwóch na jednym klapouchu. Ogromną tę ka-

rawangę, zatrzymującą się na każdym kroku, i nie mogącą wybrać się z aulu, zamykały białe, kudłate, ogromne psy, idące z tyłu. Za każdym posunięciem się tego różno-barwnego taboru, podnosiły się wrzaski i bieganina, bo trzymane w rękę kury i koty, ciągle z arb wymykały się na powrót do saki, ciągle więc je trzeba było odszukiwać i łapać. Mogliśmy na własne oczy (choć przez perspektywę), przekonać się o prawdziwości aforyzmu Biufona że: „psy bardziej przywiązane są do ludzi, a koty do miejsca.” (1)

Pierwszy aul Akuszyński, do którego zdążyliśmy, i koło którego mieliśmy nocleg nazywał się Łowasz. Aul był zupełnie pusty, musiał być jednak bardzo ludnym, bo ogromne łany żyta, pszenicy, jęczmienia, przylegały do niego ze wszystkich stron;— w dolinach łany te już żółciały, tuż obok na spadzistościach gór, jeszcze były zupełnie zielone. Nigdzie w okolicy, nie widać ani drzew, ani krzaków. Charakterystyka zajętego aulu, a nawet całej wschodniej części Akuszy, daje się wyrazić w następnych kilku słowach: ze wszystkich stron, rozkładające się góry w amfiteatr, od spodu do samego

wierzchu, jak by wyłożone darniem najbujniejszej zieloności. Między niemi, zółcieją uprawne doliny. Mnóstwo jasnych, przezroczystych strumieni, srebrnemi, szerokimi wstęgami, w różnych kierunkach, wije się w gzygzaki. Nigdzie na około nie widać drzew; i nawet nad strumieniami, niema rośliny, coby się mogła sobie przypatrzeć.

W Łowasz mieliśmy widok cudowny. Mechtulinskie auly oszczędzono, bo już słychać było, że mieszkańcy wracają, i że chcą raz na zawsze zerwać z Miurydami. O Akuszycach nieśmy jeszcze nie wiedzieli, i Ławasz ze wszystkich stron podpalony, miał właśnie usposobienia sąsiednich aulów wyjaśnić.

Pożar w górach, i to jeszcze podczas ciemnej nocy, ma wiele w sobie fantastycznego. Poblizsze góry były jaskrawo oświetlone, strumienie szczególnie w spadzistszych miejscach, jaśniały kaskadami brylantów, a doliny jak gdyby pluśkały się złotemi falami lanów. Dalsze góry, na które luna, rzucała już tylko pół-swiatła, pół-cienia, osnuły się jakimś niepewnym kolorytem i upiększyły się gruppami sążnistych ludzkich postaci, które ciągnący tam dym utwo-

rzył. Tam, jakby duchy poważnych rycerzy, zeszyli się na bankiet z Odynem—rozprawiają, i popijają krew, z czaszek zabitych wrogów. Dalej, grupy szermierzy zaczynają znowu walczyć, podnoszą olbrzymie oręża, i zadają sobie razy, bronią się, napadają, pasują się zawzięcie, prawdziwa Walhalla Kaukaz.

We dwa dni po tym pożarze gotowaliśmy się do bitwy. Pnąc się pod wysoką górę, gdzie droga była coraz krętsza i ciasniejsza, dostrzegliśmy z daleka, na samym jej wierzchołku, wśród bujnej zieloności, sterczące dwie ogromne skały, między którymi właśnie przechodziła droga. Miejsca tego nazwanego djablemi wrotami, w żaden sposób nie można było ominąć. Szliśmy ciągle dalej, i na dość znacznej wysokości, już wyraźnie było widać, że przejście to zawałono barykadami, z po za których wyglądały łachmate czapki, i gwintówki. Każdy już myślał o szturmie, ale stało się zupełnie inaczej; bo Górale coś sobie nie dowierzali, i przed czasem pierzchnęli z pozycji niedostępnej, którą zajęliśmy bez wystrzału.

Kiedy kompanje Saperów rozbijały barykady, i oczyszczały drogę dla oddziału, odszedłem

od mego działa, wdrapałem się na sam wierzchołek, i oparłszy się o djabłą skałę, zatopiłem wzrok w cudowny widok, odkrywający się przedemną.

U podnóża góry, trochę na prawo, rozścielał się aul z wieżyczką, bez najmniejszego ruchu, — glucho, pusto, w nim było zupełnie.

Na prawo za aulem, ciągnęła się rozłożysta dolina, upiększona lśniącym potokiem, z jednej i drugiej strony otoczona wielkimi wzgórzami, co tworzyło jakby obszerny wąwóz, zaczynający się na wzgórzach, później stopniowo coraz spadzistszy. Dolina wąwóz widniała na pół mili, koniec jej przylegał do innego aulu, piętrzącego się na wzgórzach, i wprost zakrywającego dalszą panoramę. Z prawej strony, część jej tylko widać było i dalej w głąb; tam jakby inna dolina, upiększona gruppami drzew, i pagórków epigramatycznie rozrzuconych, ciągnęła się nadzwyczajnie daleko, i ginęła w tumanie dordniejszych gór. Dolina wąwóz miała też mnóstwo drzew, między którymi, całe szeregi topoli, ukazywały swoje wierzchołki. Ruch był ogromny, tłumy ludzi, trzody bydła, zaprzężone ar-

by, wszystko to jakby w jakimś oczekiwaniu, roztasowywało się na wszystkie strony.

Kiedy barykady były rozbite, i droga oczyszczona, spuściliśmy się z góry, i przechodziliśmy przez wspomniany pusty aul, nazywający się Barkulu, w którym na ulicach leżało do czterdziestu jeszcze niepochowanych góralskich trupów.

Dalej, w dolinie wąwozie, spotkała nas Akuszyńska kawalerja, z rozpuszczonym niebieskim sztandarem, dopytująca się o Sardara. Jadący na przodzie, na czerwonym sznurze prowadził ogromnego białego barana, z wyłocznymi rogami, ozdobionymi różnobarwnymi wstążkami; był to podarek dla Dowódcy Oddziału, co według zwyczajów Akuszyńskich, miało wyrażać, że zawieszają broń, i oddają się zupełnie pod protekcję.

Akuszyńscy zatrzymali się, i rozpowiadali naszemu tłumaczowi o swém nieszczęśliwem położeniu, dowodząc że gdyby Rossyjskie wojska weszły wcześniej do ich Rzeczypospolitej, to byliby w stanie dać odpór Dzemilowi, grożącemu im śmiercią, jeżeliby się z nim nie chcieli połączyć. Nie zapomnieli też dodać, że się mo-

eno ucieszyli, zobaczywszy ogromne siły swoich protektorów, i że łatwo mogliśmy się w Baruku przekonać, jak natychmiast zwrócili swój oręż przeciw Miurydom, w tej chwili przesładowanym przez wszystkich krajowców, i zostawiającym po drodze mnóstwo trupów.

Nim hołdownicy złożą Sandarowi barana, przypatrzmy się bliżej tym rozpierzchniętym mieszkańcom, zostającym jeszcze w wielkim nieładzie i niespokojności.

Uderzają najprzód swoją pięknoscia kobiety, cudne istoty, zgrabne wysokie blondynki, z niebieskimi oczyma, które zapewne jeszcze piękniejby wyglądały, gdyby nie były smutne i zapłakane. Spojrzawszy na nie, przypomniałem sobie Olizarowskiego:

..... dziewice nadobne

Ezami się myją; zachryply ich głosy,

Zbolaly piersi od ciągłego łkania;

Wybladły lica, w nieład poszły kosy;

W czuciach i myślach pełno zamieszania—

Burze we wdziękach—przerwa w ich zamęciach,

Przerwa w nadziejach, wielka przerwa w szczęściach i t. d.

Tualeta Akuszynek w wielkim była nieładzie, zdaje mi się jednak, że zupełnie tak samo się ubierają jak Szamchałki.

W stroju mężczyzn dostrzedz można było większą różnicę, nie noszą zupełnie czerkiesek, czuchy ich nie są tak długie, a baranie, najczęściej białe czapki nie starannie zaokrąglone, i nie bardzo łachmate. Akuszynów i Cudacharów odróżnia jeszcze od innych plemion, ładownica, lub raczej pasek, noszony na prawem ramieniu, na którym wiszą naboje (w futerale, wyszywanym różno-kolorowym jedwabiem), i nie wielki rożek z prochem. Oprawa tego rożka, i ozdoby nabite w pasek, u jednych srebrne, u innych mosiężne, a u wszystkich jednakowej formy i roboty, stanowią właśnie to, po czem można zaraz poznać obywatela Akuszy i Cudachary.

Z fizjonomij tych obywateli bardzo łagodnych, można od razu wyczytać, że wojna nigdy nie była ich rzemiosłem. Są to ludzie nadzwyczajnie przywiązani do miejsca, siedzą ciągle w swych aulach, mają wstręt do wędrowania po cudzych zaściankach, i trudnią się tylko rolnictwem i chowem bydła. Nie widzia-

lem u nich tych śmiałych rysów, tych zmarszczków na czole, i tych najeżonych brwi, które mi się odznaczają inne Kaukazkie plemiona. Akuszyny w twarzy i głosie mają coś zniebiesiałego. Nie widziałem między nimi żadnego bruneta, wszyscy co do jednego byli blondyni lub rudzi; dosyć niezgrabni, i mało zajmującej powierzchowności. Niektórzy byli tak szpetni, że z trudnością przychodzi wierzyć iżby to byli mężowie i bracia pięknych Akuszynek.

Ofiarowany baran został przyjętym, niebieska chorągiew złączyła się z kozakami i milicją, i cały ten kawalerji oddział wysłano naprzód ścigać zmykających Miurydów.

Po nie wielkim odpoczynku i my wyruszyliśmy dalej.

Im bardziej w głąb, tem miejsce coraz cudowniejsze. Droga, po której szliśmy, wiała się ciągle w małe gzygzaki, nad potokiem co krok fantastyczniejszym, w którym i nad którym, sterczały ogromne płyty różnych gładkich prostokątnych kamieni, tworzących jakby taburety, a w innych miejscach jakby długie sofy,

wabiące przechodniów odpocząć w cieniu drzew rozłożystych.

Dolina wąwoz tak była piękna, że trudno coś podobnego wymarzyć. Potok szumiał, i pędził kaskadami coraz dalej, wśród wielu drzew, między któremi przemagały topole zieleniące już prostemi linjami w rząd jedne obok drugich, już rozsypanemi niewielkimi grupami. Kamienie dziwiły wszystkich swemi prostemi kształtami, i swém jakby sztuczném wykończeniem. Łatwo by się zgodzić można, że je przygotował jakiś architekt-czarodziej, zamysłający budować na wielką skalę. Dolina wąwoz zdumiewa, wszystko w niej tak niezwykajne, że wzrok już szuka nowego Amfiona, a do nateżonego słuchu zdają się dołatywać jego melodje. Jeśliby jeszcze chwilę poczekać, kto wie, możeby i tutaj, jak niegdyś w Tebach, poukładały się piękne kamienie w wielkie budynki, i wysokie mury.

Nareszcie doszliśmy do widniejącego od dawna aulu Machy, i tutaj zdybuje nas z pięćdziesięciu konnych Akuszynów, pod żółtą chorągwią.

Jeden staruszek, bogaty mieszkaniec tej wsi, na koniu, w szarej kurtce, w czerwonych szarawarach, ze strzelbą przez plecy, uwijał się koło nas, i ciągle zapraszał do siebie.

Kiedysmy się zrównali z jego mieszkaniem, zaszedłem do niego wraz z innymi.

Przed kamiennym domem, na rozesłanych dywanach, stały ogromne garnki z mlékem i śmietaną, obok których, naliczyć można było do trzydziestu miedzianych półmisków, z plastrami miodu, i z rozmaitemi owocami; — czém był bogatym, tém nas chciał ugościć. Wymówiliśmy się przed uprzejmym gospodarzem, że czas nagli, i że bez odpoczynku mamy iść dalej.

Zdażyłem tam przypatrzeć się Akuszyńskiej pasiece. Z prawej strony obszernego dziedzińca, na kamiennych podstawach, stało nieopodal od siebie, do czterdziestu wysokich plecionych koszy, w których burezały pszczoły; cała ta pasieka ogrodzona była częstokolem, a wchód do niej stanowiła nie wielka furtka, ozdobiona rzniętymi deseniami, z pół-księżycem na wierzchu.

Z aulu Machy szliśmy dalej nowym wąwozem, wijącym się ciągle w większe gzygzaki, i różne zakręty, ale już nigdzie nie wyskakującym na dłuższą metę.

Wąwóz był cudowny, ale ani sposób go porównać z uprzednim. I tutaj znowu nas spotyka Milicja, był to cudacharski Kady, ze swą drużyną, i z różno-kolorowym sztandarem. Kady oznajmił nam że Górale uciekają w wielkim nieładzie, i że kawalerja odbiła od nich trzy działa, mające wkrótce przybyć do naszego oddziału.

Już przed wieczorem stanęliśmy w Cudacharze, mającej więcej podobieństwa do miasteczka, niż do aulu. Pośród mnóstwa dwu i trzy piętrowych kamiennych domów i całych szeregów niewielkich sklepów, wznosiło się tam pięć meczetów; przy jednym z nich był fantastyczny minaret, na którym błyszczał krzyż, a na jednym z większych domów, dało się także widzieć trzy krzyże — widoczne znaki, że w Cudacharze panował Chrystjanizm, ale musiało to być przed kilku wiekami, bo dziś mieszkańcy całej Rzeczypospolitej są wybornymi wyznawcami Proroka, i muszą niemi być od

bardzo dawna, bo nawet nie pamiętają, że kiedyś byli Chrześcianami.

Na południowym krańcu Akuszyńskich posiadłości, jest ogromny aul, nazwany Kubecza, którego mieszkańcy są bardzo lubieni na Kaukazie, za wyborną broń, którą wyrabiają w wielkiej ilości, i sprzedają Góralom. Między nimi i teraz są ludzie różnej wiary: Chrześcianie, Mahometanie, i Żydzi. O tych pierwszych, Hernhuci z Sarepty, posyłali, aby się dowiedzieć, czy nie będą to ich współwyznawcy. Wysłana delegacja znalazła tam Chrześcian, i prawie już ruiny trzech ogromnych kościołów, na ich drzwiach, i ścianach, były napisy, których nikt nie rozumiał, a między którymi dostrzegano rok 1215. Przybyli delegaci, w żaden sposób, nie mogli się z mieszkańcami Kubeczy porozumieć, gdyż ci mówią zupełnie odrębnym językiem, nie podobnym ani do żadnego europejskiego, ani do żadnego góralskiego. Ocalonych tych napisów i sami mieszkańcy nie rozumieją: wszystkie ich litery arabskie, ale słowa nie podobne, ani do arabskiego, ani do ich teraźniejszego języka. Klaproth, i Eichwald, chociaż nie byli na miejscu, robią jednak domysły, że mie-

szkańcy Kubeczy, muszą być Grecy przesiedleni z Abchazji. I zapewne, że to najpodobniejsze do prawdy. Grecka osada przybyszów, musiała trafić na dawniej osiadłych krajowców, i od nich zapewne przyjęła zwyczaje i język.

Chrześcianizm zaś w Cudacharze, już zapewne z Kubeczy wyprowadzał swój początek, gdyż stosunki Akuszyńsko-Cudacharskiej Rzeczypospolitej z tym oryginalnym aulem, sięgały niepamiętnych czasów. Nigdy Akuszynin nie kupował innej broni, jak tylko Kubeczyńską, a od stu lat chociaż Kubecza ma zawsze swego odrębnego Kadego, jest jednak jakby wcieloną do Akuszyńsko-Cudacharskiego Towarzystwa, i działa z niem zawsze wspólnie. Żałowałem bardzo, że mi się nie udało być w Kubeczy.

W Cudacharze już zastaliśmy trzy odbite działa, i kilkudziesięciu Górali wziętych w niewolę, między którymi jednak nie było żadnego Miuryda. Zajadli sektarze wolą zawsze poledz na polu bitwy, niż dostać się do rąk nieprzyjaciół.

Dalej za Cudacharą, przechodziliśmy przez

piękny most (dziwna rzecz w górach), na Kara-Kajsu.

Po drodze w różnych miejscach, a najwięcej pod górą, gdzie były odbite działa, widzieliśmy świeże mogiły, nad którymi wznosiły się drewniane tylko co ociosane słupki. Każden z tych słupków, na pół łokcia niżej od swego wierzchołka, przebity był na wskrós drewnianą włócznią, okręconą białymi chustami, to było znakiem, że tam pochowany, nie umarł na łożu śmierci, ale był zabitym na wojnie *). Nagrobki te, jak się później dowiedziałem, wystawione były przez mieszkańców pobliskiego aulu, którym Miurydzi uskarżali się, że nie mogli zabrać z sobą poległych swych braci, prosili dla nich o tę ostatnią posługę.

Przez ten aul leżący właśnie pod górą, przechodziliśmy, bo był nam po drodze, ale wszyscy mieszkańcy z niego się wynieśli, obawiając się zapewne przesładowań za swe stosunki z żywymi Miurydami, i za troskliwe pochowanie ich zabitych.

*) W pierwszym razie, zmarły, miałby tylko zwyczajny kamień grobowy.

Okolo tego opuszczonego aulu, mieliśmy nocleg.

Nazajutrz, idąc ciągle spiesznym marszem, i scigając zmykających Górali, przechodziliśmy przez ogromny aul Sałty, niby umocowany ze starożytnemi kamiennemi basztami, bramami, i ze strzelnicami, które jak gdyby tam zasiane z każdej prawie sakli wyglądały. Jednak Sałty, mimo swą wojenną postawę, było jak widać zupełnie neutralnem; pełno w niem było mieszkańców, wychodzących całemi gromadami na ulicę, i sprzedających nam kury, jabłka, włoskie orzechy i t. p.

Za Sałtami, leżącemi zupełnie na równem miejscu, pejzaże zmieniają charakter, i całkiem tracą swą malowniczość. — Za Sałtami jak uciał, nie się nie zieleni, miejsca piaszczyste i ponure.

Po drodze, kiedy znowu spuściliśmy się na brzegi Kara-Kojsu, ujrzeliśmy uderzający dziką, ale wzniosłą pięknością most, nazywany Sałtyńskim, i takąż okolicę.

Most ten ze dwa sążnie długi, pół sążnia szeroki, rzucony jest na dość znacznej wysokości. Z lewej jego strony, tuż nad nim, wznoszą się zupełnie pionowo, dwie wysokie, skaliste, cie-

mne góry, tak bardzo zbliżone do siebie, jakby się tylko co rozdarły, i rozdzieliły na dwie połowy. Zdaje się że widzisz jak ich wierzchołki prują się jeszcze i teraz, zdaje się widzisz ich kamienne strzępki; a gdy się dłużej wzrok zatrzyma na tej ciemnej otchłani, przypominającej pierwszy dzień stworzenia, zawraca się głowa, i cmi się w oczach, nie mogących się oswoić z tym chaosem, co jakby dotąd jeszcze nie przybrał stałej formy.

U dołu tego dziwnego wąwozu, piętrzy się i przeciska przez olbrzymie kamienie, z potężnym szumem i hukiem Kojsu; tak że z lewej strony tworzy ciasną, wąską, istotnie diabłą kaskadę a z prawej—płyńie już szeroką, potoczystą rzeką.

I kaskady, i kamienne strzępki, wtenczas tylko dają się widzieć, kiedy staniemy jak raz na środku mostu. Żeby zaś mieć choć małe pojęcie o tym moście, cofnijmy się jeszcze o kilka kroków nazad.

Idąc ciągle u zgrębu podnóża rozdartej góry, po ścieżce wykutej w kamieniu, dogodnej tylko dla pieszych, pierwsza rzecz co nas zadziwia, i którejsmy się zgoła nie spodziewali, jest bra-

Łudzi nie widać było, co tylko dwa białe, ogromne psy ujadaly u wrot. Cała ta kwitnąca psada, cudnie wyglądała w tym ponurym i bezbarwnym krajobrazie.

Tegoż samego dnia, późno już w nocy doszliśmy do drugiego mostu nazwanego Kără-dach, i zbudowanego na Kojsu Awarjskim. Przednią maszą straż, która się rozstasowała nad brzegiem rzeki, miała się ciągle aż do samego rana, wystrzadami z czujnymi Góralami, zebranymi tam w bardzo znacznej sile i brończącymi przeprawę.

Byliśmy znowu na granicy; tu właśnie kończyły się ziemie towarzystwa Andalał i zaczynała się Awarja, tak straszna przed laty, ta sama Awarja, co jeszcze w przeszłym wieku, trzymała za kark wszystkie sąsiednie Towarzystwa i Klany, robiła dalekie napady i brała haracz z Chanstwa Derbenckiego, Kubijskiego, Bakijskiego, Szyrwańskiego, Szekijskiego, a nawet z Gruzji i z Achalcychskiego Paszalyku. Tu Awarja nie exystuje już dziś. Została tylko pusta ziemia, zostały jej nazwiska, ale mieszkańców wszystkich przesiedlił gwałtem Dszemil w roku 1843, w głąb gór, jedynie dla tego, że

nie chcieli mi być podwładnymi, i rozszerzać między sobą Miurydyzmu.

Tak więc, przed nami za rzeką widniały piaszczyste wzgórza pustej Awarji, a nowi władcy bronili przeprawy.

Lecz zajęcie Awarji nie było planem naszej ekspedycyi, chodziło tu tylko o usmierzenie Akuszy; osiągnąwszy więc najpożądanse skutki, odpoczęliśmy pod Karadachiem dni kilka po forsownych marszach, wracaliśmy do Szury zupełnie zwycięzko, zupełnie nową, poblizszą drogą.

VII.

W najciemniejszą noc rozłożywszy ogniska, zaczęliśmy z pod Karadachu cichaczem się wynosić.

Z wielką niechęcią ruszyłem z miejsca, gdyż w ciemną noc maszerować po wąwozach, nie sprawia wielkiej przyjemności, a koło ogniska było światło, było ciepło, było kilku kolegów, opowiadających różne zdarzenia z dawniejszych czasów obozowych!

Ledwieśmy się zaczęli rejterować, czujni Górale wnet dali rześistego ognia, i przesładowali nas dobre pół mili; lecz że rejterada nasza szła w wielkim porządku, i eszelonami,

nie bardzo się więc zbliżali, i dali nam pokój; w prawdzie mieliśmy kilku ranionych.

Po szkaradnej drodze, noc i dzień cały, kropieni ciągle rześnistym deszczem, doszliśmy w końcu do Dergebila, leżącego jakby w wianku gór, już zieleniejących, już nagich i piaszczystych. Tu właśnie łączy się Kara (czarna) Kojusu z inną Kojusu *), z lewej strony widać kamienny most (przez który przechodzimy) dość mocno zbudowany, ale z taką niską bramą że jeździec musi pokornie zleże z konia i w reku go prowadzić.

Wchodzimy w obszerne sady, w których najobficiej przemagają orzechowe drzewa, za nimi piętury się szaro-kamienny aul na zrębie góry rozsypany, z którego mieszkańcy wynieśli się gdzieś dalej.

Niedochodząc do sadów, z prawej strony, zaraz za rzeką sterczą ruiny niegdys Rossyjskiego fortu, tu właśnie stojące dwie kompanie piechoty, w 1843 roku, mężnie się broniąc, przez zdradliwego i przemagającego nie-

*) Kojusu, po tatarsku znaczy dosłownie barania 10000 tych Kojusu jest kilka w górach.

przyjaciela w pień wycięte zostały. Walały się tam jeszcze i teraz, czaszki i kości przez Mahomešan niepogrzebanych męczenników; i z tego powodu przebyliśmy tam dni kilka.

Nazajutrz z rana, połowe duchowienstwo odprawiło nabożeństwo, cały oddział stanął w parady pod bronią; później grzebano kości w jedną wspólną mogiłę, i piechota na cześć zmarłych, trzy razy z ręcznej broni, dała pogrzebową salwę. Podczas kiedy bron nabijano, podkra- dło się kilkunastu Górali, i palnęli z gwintówek do bliżej stojących, szczęściem nie mieliśmy ranionych, ale i sprawców pogrzebowego zamieszania nie mogliśmy wytropić w gestych ogrodach.

Występujemy z Dergebila; przeszedłszy obszerne jego sady napotykamy cudną kaskadę, najpiękniejszy prolog tego poetycznego wąwozu, przez który z powodu ciasnej drogi, idziemy kilka godzin, chociaż wąwóz ma tylko jedną milę długości.

Między prostopadle wiszącymi skalami, co chwila grożącymi spadnięciem, huczy szumiący potok, i przebiegając po ogromnych zwałonych skalach, ciągle najfantastyczniejsze tworzy ka-

składy. Potok w węższych miejscach, płynie jedynym korytem, w szerszych niekiedy rozgałęzia się na dwa, trzy, a czasem i więcej ramion. Czasem z prawej, czasem z lewej jego strony widnieją ścieżki, na które ciągle przez strumień przechodzić trzeba.

Takie gzygzaki stanowiły właśnie drogę, po której posuwalismy się ciągle w głąb tego ciemnego, jakby zaczarowanego wąwozu, do którego nigdy nie dochodzą słoneczne promienie.

Czasem ani z prawej, ani z lewej strony ścieżki nie dostrzedz. Tam wąwóz ścieśnił się jeszcze bardziej, tu przed nami kaskada. Piechota przechodzi przez nią: a co potonęli? zawołał ktoś—gdy ich za bryzgami, dostrzedz nie można było. Nie, odpowiada żołnierz, maszerują, tam na lewym brzegu, nie robią nawet kurzawy, bo są po kolana w wodzie.

Dalej więc przez kaskadę. „Więcej na prawo”—zakomenderowałem przeprowiając moje działo, i sam się od stóp do głowy skapałem, chociaż jechałem na ogromnym koniu. Ścieżki, coraz częściej gubią się przed nami, brniemy i brniemy bez końca.

Ciemno, mglisto, gdzieniegdzie napotykamy nawet ogromne szmaty wałęsających się obłoków, co nie mając nic lepszego do roboty, obwijają nasze kosmate czapki, lub tulą się pod płaszcze. Obłoki te, ukazują się czasem i zdaleka w postaci ludzi, zwierząt i ptaków, wynagradzają nas swemi różnorodnymi formami, za nieobecność żyjących istot, których tam zupełnie braknie; nie widziałem nawet orła, co by się wzbil ze skały chociaż podobne wąwozy zawsze są im ulubione.

Ale otoż i most!—a to już prawdziwa roskosz tam, gdzie się ciągle po wodzie maszeruje i gdzie prawie nie ma drogi; alęż i most zabawny i zupełnie przystaje do tych kaskadowych wertepów. Na jedną z odnóg potoku, z dwóch przeciwległych sobie stron, wyskoczyły dwie jakby tęskniące za sobą skały, i utworzyły wyborną arkadę. Spłaszczony wierszchołki tych dwóch skał, nie przystają do siebie szczelnie, ale ich otwór wybornie ubity kamieniami różnej wielkości, które zapewne ponosił potok w czasie wezbrania;—tak że most i mocny, i wysmienity, chociaż ręka ludzka, żadnych nad nim nie łożyła starań.

Idziemy ciągle dalej, — ciemno, szumno, półnuro, cały oddział rozciągnął się znacznie.

W prawo, nie dochodząc do końca wąwozu, ukazuje się inna jego odnoga. Tam jeszcze ciemniej, jeszcze okropniej. Z lewej strony, pod nowym łańcuchem nawisłych czarnych skał, leżą dwie monstralne, czarne, spleśniałe, bryły, z pod których, ogromnemi zdrojami wytryska kryształowa najczystsza woda, dziwnej własności, bo im się jej więcej pije, tem smaczniejszą się wydaje, i większe wzbudza pragnienie. Woda ta ma smak zwyczajny, zauważyć w niej tylko można jakąś dziwną lekkość. I ja, i kto tylko do niej się dorwał, wypijał po kilka szklanek od razu.

Nie — te mchem i pleśnią okwitłe bryły, to coś podejrzanego. Może Oready i Najady, obrały w nich sobie siedlisko. Może to trony górnych Diwów. Może to odmładzające źródło, o którym mówi podanie, że gdzieś się w górach Kaukazkich znajduje; w każdym razie, w czystej tej wodzie, ma być jakaś nieczysta siła. Przynajmniej na te moje wnioski, zgodzili się wszyscy, których wezwałem, i którzy z ciekawości do tego drugiego zбочyli wąwozu.

Po kilkudziesięciu krokach, zrobionych w głównym wąwozie, wydobyliśmy się nareszcie, z tej ciemnej otchłani. Z lewej strony, pod skałami, i na nich ciemnych zębach, piętrzył się już Ajmaki; z za węglów pokazywali się i mieszkańcy, ale nie zbliżali się do nas, i bardzo jakoś z podobna na nas spojierali. Z prawej strony, ukazała się szeroka spadzistość rozłożystego wzgórza, na której jeszcze trzeba było wejść, gdyż tam dymili się ognie, i białaly namioty naszej przedniej straży, na parę godzin przed nami przybyłej.

Cudny widok z obozu! Przed nami wprawdzie, ukazywały się tylko nagie góry, miejscami zasłonięte ustępami zielonych terasów, coraz wyżej się pnących po rozłożystej górze. Ale za to, obróciwszy się ku miejscu, z któregośmy wyszli, dzika, ogromna, czarująca panorama, najwyborniej się nam przedstawiała w całym blasku swych światło-cieni.

Promienie zachodzącego słońca, rzęsiście spadały na najdziwniejsze grupy, szaro-skałistych, zielonych, i brunatnych gór, co się jedne z po za drugich wydobywały. Nad niemi czyste, szafirowe niebo. Na niem znowu miej-

scami nawiał gęstych, snujących się obłoków. Pośród nich, na długą metę, widac było Ajmański fantastyczny wawóz, do którego i teraz słońce nie zaglądało. — A z tyłu, prawie zupełnie na uboczu, nad dziwną tą gromadą, jeszcze wyżej się wznosiła, nie nie zamglona, zupełnie okrągła, i całkiem czarna góra, — całej tej okolicy, prawdziwa Ciemna Królowa! Taki kształty, takie cienie, takie światła, doprawdy trudno z sobą pogodzić, wpatrując się w te fantasmagorje, mimo woli, jakoś Oready, Najady, Diwy, i odmładzające źródła ciągle na myśl przychodzą.

Z enigmatycznej tej krainy, wyruszyliśmy ze świtem, spuszczałyśmy się ciągle z gór, później szliśmy przez coraz równiejsze miejsca, i prawie na godzinę przed zachodem słońca, stanęliśmy obozem na równinie w Dżengutaju, który ma tylko ze dwieście sakli, ale za to pyszne nazwanie posiada, bo go mianują Stolicą Chaństwa Mechtulińskiego.

Teraz Chaństwem rządzi Sztab' Oficer wojsk Rossyjskich, gdyż ostatni Władca Achmed-Ghan przeniósł się do wieczności. Został po nim młoda Chanowa, i ta się ciągle leczy

w swém Dżengutaju. — Najprzód udawała się do Azjatyckich Hakimów, a teraz lekarstwa i lekarzy ciągle z Szury sprowadza, ależ bo i choroba niebezpieczna, — Chanowa utrzymuje, że ją ktoś z czarował.

Chciałem bardzo zobaczyć tę kobietę, i kiedyśmy przez Dżengutaj przechodzili, szczęśliwy traf pozwolił mi jej się przypatrzeć.

Chanowa, w ponsowej aksamitnej kaczawce, z zupełnie odkrytą głową, z porządnie zadrypanemi honorowemi damami, mając z tyłu jeszcze porządniej obszarpane służące; wracała właśnie z przechadzki.

Żeby się jej jeszcze lepiej przypatrzeć, wróciłem z drogi, doszedłem aż do dziedzińca jej zamku, po którym jeszcze długi się czas Chanowa przechadzała, i zaraz byłem sam świadkiem, jak jedna z nieodstępnych dam, dwie łyżki lekarstwa w gardło jej zlała. Nie wiele brakowało żebym się głośno rozśmiał, bo mnie mana chora świeża, żwawa (dosyć przystojna), i tak zdrowo wygląda, że kto się jej tylko przypatrzy, od razu dostrzedz może, że niepodobna ją podejrzewać o najmniejsze cierpienie.

Obóz nasz rozłożył się tuż za szanowną Stolicą, której wiejski lud, do koła był w polu pracą zajęty, i ten z kosą, ów z grabiami, koło nas się przesuwali. Tam na ścierni, pasie się bydło, — tu przepędzają owce, za niemi idzie cała gromada ładnych małych chłopaków, już to przypatrujących się naszym namiotom, już swawolących między sobą. — Tam znowu arby, naładowane snopami kukuruzy, prosa i jęczmienia *), do domów wracają.

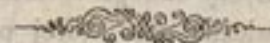
Słowem, w polu mnóstwo idyllicznego ruchu, a w samym Dżengutaju, w krętych uliczkach, prawie pusto zupełnie. Gdziekolwiek tylko zobaczyć można było, na przyzbie siedzącego starca w archałuchu, lub przechodzącą przez uliczkę babę, w długiej zielonej lub ciemnie-niebieskiej koszuli i w takichże tumanach (szarawarach), ogromnie szerokich.

Miejscowość koło Dżengutaju dość powabna. — W oddaleniu do koła góry, a sam aul, patrząc nań z pola, prawdziwa oaza. Ze wszech

*) Otóż i wszystko, czem się żywią prawdziwi Kaukascy Górale. Żyto i pszenicę sięją miejscami, tylko w bogatszych i ucywilizowanych prowincjach.

stron, otaczają ją zieleniejące sady, ze swemi orzechowemi drzewami. — Za niemi, ukazują się gromadnie skupione czystsutkie kamienne sakle, pośród których, wznosi się tak nazwany Chański Zamek, różniący się od innych sakli, tylko swoim ogromnym rozmiarem, oknami od frontu, i szybami w oknach których żadna z małych sakli nie posiada.

Z Dżengutaju, już tylko trzy mile do szury, a że i droga dość równa, i cały oddział znużył się pochodem, bo to już było pod koniec lata, więc dążyliśmy tak szparko, że przed południem postrzeegliśmy najprzód znajome Szuryjskie jeziora, później ukazała się forteca z baterjami, a w końcu przedmieście, ze znajomym białym kościółkiem, z godłem wiary, umajonem wysokimi topolami. O, jak błogo dla oczu, strudzonych gór i skał nawałem, powitać znowu tę zieleniejącą Świętą Zagrodę!



VIII

Domyślam się kochany czytelniku, że przeczyłeś zasnąć, — a przynajmniej musisz wybornie poziewać nad obozową kurżawą i wojennemi wyprawami kaukazkiego artylerzysty. Chciałem cię najsolenniejsz przeprzeć, ale po chwili namysłu nie widzę potrzeby. Jaktó? — mógłżeby cię tak zniechęcić ten kraj, w którym Słowiańskie Orły ciągle sobie naprzód torują drogę; ten kraj, w którym walczą tysiące twoich rodaków! Nie, to być nie może; a więc cię nie przepraszam. Ale nadobna czytelniczka, dla której pokój droższy nad wszystko, dla której huk dział zawsze nieznosny, niech mi daruje że ją jeszcze nudzić

będę dalszym ciągiem mych szorstkich opowiadań.

Nastąpiła wiosna 1845 roku, gdzieindziej opatrzą lemiesz i inne narzędzia rolnicze, my zaś opatrzywszy broń, wyruszyliśmy na taką wojnę jakiej dotychczas nie bywało na Kaukazie.

Jeszcze na kilka miesięcy przed wystąpieniem, widać było że się zanosi na coś większego, bo się wielkie robiły przygotowania, i większe massy żołnierstwa ściągano na punkta zbiorowe. Na wiosnę zaś, już wszyscy rozprawiali o rezydencyi Dzemila, nazywającej się Dargo. Jakoż przy końcu Maja, wystąpiliśmy na owe sławne Dargo.

Pierwszy nasz obozowy nocleg był w Czyrkiej, lub właściwiej pod fortecą Sgo Eugeniusza, gdyż takie nazwisko otrzymała, wybudowana przez nas forteca w roku 1841.

Z ogromnego aulu Czyrkiej, i z obszernych jego sadów, nie zostało nawet najmniejszego śladu; aul był zbombardowany i zniszczony do szczytu, a sady z pół-wiekowemi orzechowemi drzewami, uległy sile toporów. Dziwnie to odmieniło, całą tę miejscowość. Pomimo że

podczas budowania fortecy, stałem w Czyrkiej kilka miesięcy, nie prędko jednakże mogłem rozpoznać, na jakim miejscu, przed czterema laty, zieleniały sady, i piętrzył się aul rozłożony w amfiteatr.

Powodem tego zniszczenia było to, że 1843 roku, podczas ogólnego powstania w Dagestanie, mieszkańcy Czyrkiej, nie dotrzymali swej przysięgi, nie raz napadali na fortecę, mając na celu jej zdobycie, i przecinali jej wszelką komunikację. Załoga fortecy utrzymała się, a w rok później, z rozkazu rządu aul został przez nią zniszczonym.

Nie żał mi było mieszkańców, bo to byli prawdziwi rozbójnicy, a zresztą z przeniesieniem się w głąb gór, nie się im złego nie stało; żał mi było tylko tego lasu włoskich orzechów, w którym cieniu, nie raz Szekspira lub Goethego czytałem.

Po wyjściu z fortecy Śgo Eugeniusza, i po przeprawieniu się tamże, przez nowy most na szumnym Sulaku, nie raz po drodze, zdawało się nam zoczyć nieprzyjacielskie piesze widety, jasno dowodzące, że oddziały Góralskie gdzieś niedaleko się znajdują; widety te wszelakoż za

naszém zbliżeniem się, jakby jakąś czarodziejską siłą, zawsze raptem znikaly w parowach, urwiskach i wąwozach.

Miejsca, przez które przechodziliśmy, bezleśne wprawdzie zupełnie, ale tak były pokrajane górami i wąwozami, że przed nami mogły łatwo ukrywać całe hordy lachmatych czapek.

Tak szliśmy ciągle dalej, zostawując miejscami po batalionie piechoty i po dwa działa, dla utrzymania komunikacyi z fortecą Śgo Eugeniusza, mającą nam dostarczać żywność, i wszystkie rekwizyta wojskowe; gdyż dla tak wielkiej masy, ani w proch, ani nawet w suchary, nie podobna było zaopatrzyć się na czas długi.

Już upłynął tydzień cały, a jeszcze nie było ani jednego wystrzału. Ani na drodze, ani na stronie, nie widzieliśmy nigdzie najmniejszego aulu, widzieliśmy tylko że już przeszliśmy Salatawiją, że wchodzimy w Ziemię Gumbetów że później mieliśmy opanować Andją, — którą żołnierze, zazwyczaj przekręcający wszystkie imiona własne, nazywali Indją.

Tak więc przed nami była Andja, *vulgo* Indja, długo neutralna, a podczas naszego mar-

szu, już wierna sprzymierzona Dszemila. Za nami były potrzebne miejscami wagenburgi, na wszelki przypadek, okopujące się i robiące sobie barykady z kamieni. A oddział nasz był pośród widetów, wprawdzie tylko migających, ale wybornie czuwających nad każdym naszym poruszeniem.

Z tego położenia rzeczy wnosić wypadało, że Górale nie spieszą się z dobytciem oreża, a tylko nęcą w głąb gór, i tam dopiero gotują jakąś miłą niespodziankę.

Tak sobie rozumując, w jedno południe rozstawywaliliśmy się na Miczykale, to jest na jednej z gór Gumbetyi, żeby trochę wypocząć; gdy w tem nagle z za wąwozu, na górze Anczimeer, palą do nas Górale z działa, a wkrótce, kawalerja ich zaczyna po niej defilować.

Głównodowodzący oddziałem, Książę Namiestnik Woroncow, mając na widoku, że góra Anczimeer umocniona barykadami, stawała się najnieprzystępniejszym miejscem, i że była jakby kluczem całej pozycji, do wchodu na ziemie Gumbetów, zrobił następne rozporządzenie. Nie tracąc czasu, kazał natychmiast wystąpić pięciu batalionom piechoty, z dziesięcią dzia-

łami, i z różną konną milicją, dla wzięcia szturmem tego umocnionego stanowiska.

Wyruszyliśmy tak jakśmy stali, zostawiliśmy nawet nasze najpotrzebniejsze bagaże, sądząc że na noc powrócimy do obozu głównego oddziału. Stało się jednak zupełnie inaczej. Wysłana milicja zeszła z głównej drogi, i żywo manowcami wdrapała się wprost na górę. Górale, z początku utrzymywali ogień z działa, i z ręcznej broni, rzucili się nawet na szaszki, ale później z pośpiechem pierzchnęli w nieładzie. Zostawili nam nawet próżny kieszon od nabojów, wiszor i inne pomniejsze artyleryjskie attributa.

Kiedy cała nasza przednia straż już była na Anczimeer, co nastąpiło przed samym zachodem słońca; Jeneral dowodzący naszą przednią strażą, na prawo widział wprawdzie pierchających nieprzyjaciół, ale w tym kierunku dostrzegł także i całe szeregi ogromnych barykad; — nie dał się więc usidlić, i kazał nam iść na lewo. Wdrapywalismy się więc coraz wyżej, do samej późnej nocy, zanimśmy stanęli na najwyższej z całego łańcucha górze, położonej nad drogą, do Andji, i panującej nad całą

miejscowością. Była to prawdziwa wygrana dla strategicznych planów, ale rżem i prawdziwa przegrana dla noclegu, jak się to zaraz pokaże.

Już dochodząc do tej pamiętnej góry, czuliśmy chłód niezwyčajny, który przy silnym wietrze, wzmagał się coraz bardziej. W godzinę później, zacieraliśmy ręce, i dziwiliśmy się że taki silny przymrozek 5 (17) Czerwca zawitał. O północy, kiedyśmy doszli na pozycję to już nie o przymrozek nam szło; ale o mróz, i to wysmienity, a nadto o śnieg w którym staliśmy po kolana, sami nie wiedząc co począć;— bo nie mieliśmy z sobą ani namiotów, ani płaszczów, a że nigdzie drzew i krzaków nie widać było, więc i o ogniskach nie można było pomyśleć.

Piękna to była ta noc z 5 (17) na 6 (18) Czerwca: chłodno, wietrzno — zamieć świszcze prawdziwie grudniowa, — a tu jeszcze do uszu dolatują przeciągłe jęki, i przenikliwe krzyki rozmaitej milicji, która z powodu lekkiego obuwia, poodmrażała sobie nogi.

Lament ten zrobił się jeszcze głośniejszym, kiedy w tejże milicji, zmarzło w nocy do czter-

dziestu wierzchowców, rassy karabachskiej, bardzo pięknej, ale nie wytrwałej na zimno.

Tumult i zamieszanie wzmagaly się bez ustanku, jeden sobie nogi śniegiem odcierał drugi konia ratował, inny tupał nogami, lub odgrzebywał miejsce żeby wypocząć; ale opuścmy na chwilę kurtynę na te osnieżone, posągowe, chociaż wprowadzie ruszające się grupy. Złosiwy Boreasz, musiał się porządnie ucieszyć, temi zaimprovizowanemi swego Państwa odwiedzinami.

— Wprawdzie, — mówił kozak namyślając się — mógłbym ja to i sprzedać; bo jak wiadomo, nie jestem we froncie, a tylko mam dozór przy koniach oficera od sztabu; jak powiadają za Indją lasu co niemiara, to możnaby tam nowe drzewko wystrugać.

— Otóż i wybornie, — na masz rubla, i zdejm sobie żelazo.

Kozak oddał pikę, a ja na ramieniu, poniosłem zdobycz do mego legowiska.

— Teraz macie drzewo Panowie Koledzy, — powiedziałem do dwóch ziomeków, — przynieście kociołek, i dostawajcie z waszych torb herbatę, którąście się wczoraj chwalili.

Porąbana pika paliła się i dymiała, kocioł zasypiał, i w pół godziny później, częstowaliśmy się herbatą, nie bardzo klarowną, ale tak smaczną że nam się wszystkim wydała prawdziwą ambrozją. Z tego powodu, jednomyślnie zgodziliśmy się na to, że jesteśmy nieśmiertelnymi na cały czas ekspedycji, i postanowiliśmy zimną górę nazywać nowym Olimpem.

Góra ta w jakimś Góralskim narzeczu, nosiła wprawdzie nazwisko Zonak-Bak, ale o niej

IX.

Nazajutrz z rana, na tejże samej śnieżnej górze na innym końcu obozu.

— Hej, słuchajno przyjacielu, — powiedziałem do kozaka, chuchającego sobie w dłoń, — sprzedaj mi twoją pikę, będę ci za to bardzo obowiązany.

Kozak wytrzeszczył oczy i powiedział — dobre to i żarty, ale w innej porze.

— Właśnie w innej porze, na niczy mi się twoja pika nie przydała.

— A na cóż się teraz może przydać?

— Wprzód sprzedaj, a później się dowiesz jeśliś ciekawy; ja wezmę drzewko, a żelazo możesz sobie zostawić.

jak również i o wielu wspomnianych tu miejscach, nie ma żadnej wzmianki, ani u Malte-Brun'a, ani w żadnym geograficznym dykcyonarzy.

Żeby więc na przyszłość nie było uczonych sporów i niedorozumień, umyśliłem formalnie ochrzcić przyjazne to dla nas miejsce; — i to w sposób najsoleńniejszy, o ile tylko możność dozwalała.

Na ten więc koniec, w próżną butelkę położona była napisana przezemnie ołówkiem karteczka (atramentu nie było), której kopiję zaraz załączę. Kiedy butelka wybornie była zakorkowana i zasmolona, wspólnymi siłami wszystkich unieśmiertelnionych na czas ekspedycji, została zagrzebaną w tem miejscu, gdzie było najwięcej śniegu.

Napis na karteczce:

1845 roku, Czerwca 7 (19) dnia, Polacy, znajdujący się przypadkiem na tej górze, żalowali bardzo, że nie mieli z sobą narzędzi, do wymierzenia jej wysokości nad powierzchnią morza, i zdeterminowania północnej szerokości i wschodniej długości. Lecz mając na względzie, że ta znamenita góra, w księgach geografi-

cznych żadnego dotychczas nazwiska nie posiada, i czując się w długu za nabytą na tem miejscu zawarowaną ciała nieśmiertelność, — z dobrej woli, i bez żadnego przymusu, nazywamy tę górę nowym Olimpem, co czynimy wiadomem, każdemu i wszystkim.

Tu były podpisy: M. B.-A. J. J. Z. K. i t. d. słowem podpisy tych wszystkich, co umoczyli usta w ambrozji.

Zbliżało się południe. Nigdy Julia z całą swą południową namiętnością, tak niecierpliwie nie wyglądała Ramea, jak wyglądała drzew sucharów i namiotów, różnojęzyczna — i różnoplemienna — nowego Olimpu załoga.

Nareszcie w południe, załoga oznajmiła dostarczenie naszych juczych pociągów z bagażami, które szły dosyć posuwisto, i już się zaczęły na nowy Olimp rzeczywiście wdrapywać, — o czem i sam przekonałem się na własne oczy.

Trzeba było usłyszeć ten poliglotyzm Słowiano Azjatyckiej Rzeszy: Ruskie *idut, idut*; gruzyjskie, *szeni czyryme mowida*; polskie, Dali-bóg że idą; tatarskie *geliller*; i różne wykrzyknienia, ossetyjskie, ormiańskie, guryjskie, min-

greckie, abchazkie, i już sam niewiem jakie długo radośnie napelniały Olimp, i rozlegały się pod same niebiosy.

Koniec tego 6 (18) Czerwca, był sobie nie zły, bo i nie tak chłodny, i nie tak głodny, ależ na wojnie, jak na wojnie; ciągle wesołość przepłata się smutkiem.

Z pierwszego transportu, drzewa nie wiele się nam dostało, a nazajutrz wysłany nowy transport, nie mógł trafić na drogę do nas wiodącą, bo byliśmy za obłokami i za chmurami, w całym literalnym znaczeniu tych wyrazów.

Tak więc, zostaliśmy pozbawieni wszelkiej komunikacji z głównym oddziałem, tylko omiłą od nas będącym na niższym padole, i oczekującym podwozu żywności z fortecy Śgo Eugeniusza.

Wszystkie starania Głównego oddziału o wytropienie nowego Olimpu i zaopatrzenie go w opał i żywność, podobne były do ekspedycji Anglików ku biegunowi północnemu w celu odszukania Franklina.

To niefortunne nieruszanie się z zajmowanej przez nas wprawdzie nieodbicie potrzebnej pozycji, trwało całych pięć dni, w prze-

ciągu których nie tylko śmiertelnym, ale i nieśmiertelnym haniebnie było zimno.

12 (24) Czerwca, pokazało się słońce, rozwiały się mgły, tumany i chmury, spuściliśmy się z nowego Olimpu i złączyliśmy się z posuwającym się ku Andyi głównym oddziałem.

Głównodowodzący objechał nasze szeregi, pozdrowił je i dziękował za wytrwałość i walkę z nieprzyjacielem stokroć niebezpieczniejszym od niedotrzymujących placu Górali, z nieprzyjacielem, przypominającym kampanię 1812 roku. Tak się do nas wyraził ten szlachetny Wódz, co różne widział przygody, i sam w boju posiwił.

Od czasu naszego zejścia, pogoda zaczęła nam trwale sprzyjać; w cudnie zieleniejących dolinach było gorąco, — śniegi topniały na niższych górach, — a rozłożysty, bielejący śniegiem Olimp był ciągle jasnym, i ślicznie się zarysowywał na niebios błękitcie.

Dnia 13 (25) Czerwca, już przechodziliśmy przez wąwóz, nazwany Andyjskimi wrotami, i dziwilimy się wszyscy, że tak mocnej i dogodnej pozycji Górale bronić nie chcieli.

Kiedyśmy doszli do końca tego wąwozu, spostrzegliśmy w dolinie dwa Andyjskie ogromne auly, całkiem w płomieniach i zupełnie przez mieszkańców opuszczone. Nie tylko te dwa auly, nazwane Andi i Gogatl, ale i wiele innych, uległo temuż losowi; gdyż całej Andji mieszkańcy, przestraszeni terroryzmem Dszemila, zmuszeni byli z jego rozkazu wynosić się w głąb gór z całym swoim dostatkim, i palić wszystko czego z sobą zabrać nie mogli.

Z góry, z Andyjskich wrót, widzieliśmy jak nasza przednia straż zajęła dwa pałace się auly, pod wystrzałami z dział Górali, zebranych w licznej massie za aulami na wysokościach Azał.

Tegoż samego dnia, po zajęciu aulów, przez cały nasz oddział, taż sama przednia straż opanowała wspomniane wysokości, z krzykiem hura!—rzuciła się na bagnety, i po walce trwającej nie więcej nad pół godziny, zupełnie przepędziła Dszemila, niedoliczającego się wielu swych Miurydów.—My zaś mieliśmy wszystkiego, kilkunastu zabitych i ranionych.

Ku wieczorowi, namioty całego Oddziału

najspokojniej bielaty na całej dolinie, między dwoma aulami Andy i Gogatl.

Z zajętej przez nas doliny, Andja, o ile tylko sięgnąć można było okiem, nic w sobie powabnego nie miała. Miejsce również bezlesne, jak wszystkie te przez któreśmy dotąd przechodzili. Do koła wznosiły się biało-żółtawe piaszczyste wzgórza i góry, i tylko z jednej strony wysokości Azał, od dołu do grzbietu, zieleniały aksamitem trawy.

Stojąc w obozie, robiłem sobie nieraz to pytanie: czemu się karmiły żołądki stowarzyszenia. Pytanie to rozstrzygnęło się, kiedyśmy raz robili rekonesans na wysokościach Azał; tam znaleźliśmy ogromną równinę, na której właśnie zieleniały, jeszcze nie dojrzewające łany jęczmienia, prosa i kukuruzy; na tychże wysokościach widzieliśmy piękne, ogromne jezioro, obfitujące w najwyborniejsze ryby.

W tych to miejscach, w różnych zakątkach, były gdzieś siedziby, których mieszkańcy nie poszli z Dszemilem. Widziałem później, jak kozacy wieźli przed sobą dzieci ich na koniach do obozu, mające służyć za Amanatów (zakładników), dopóki Andjanie do swych au-

łów nie wróca. Nie mogłem się dosyć napa-
trzcć, na tych pięknych chłopaków jadących
bez trwogi, i przybranych jakby na jaką fetę,
w czerwone jedwabne koszulki z galonami; za-
łowałem tylko że trudno się było z pewnością
dowiedzieć, co się z nimi później stało.

Między Andy i Gogatl, staliśmy całe trzy
tygodnie, a to z tego powodu, że dostawienie
żywności z fortecy Sgo Eugeniusza, stawało się
coraz trudniejszym.

Cała droga po linii wagenburgów, ciągle
była plondrowaną przez Górale, napadających
w dogodniejszych dla siebie miejscach na nasze
transporty, konwojowane zawsze przez bataljon
piechoty, i dwa działa. Prześladowanie to koń-
czyło się zazwyczaj u wrót Andyjskich, rzuca-
niem z gór kamieni, i najzaciętszą napaścią, na
którą zawsze pośpieszało, kilka kompanii pie-
choty z naszego obozu.

Długie nasze goszczenie w Andji, zrobiło się
nieznośnie monotonném; z początku, mieliśmy
przynajmniej rozrywkę w ciągłych alarmach.
Górale, udawali nie raz w nocy, że serjo chcą
napaść na nasz obóz, a to było jedynie dla te-
go, żeby nam spać nie dawać.

Zdarzenie, które zaraz opowiem, powstrzy-
mało ich później od podobnej swawoli.

W ciemną jedną noc, Górale nie chcieli się
ograniczyć strzelaniem zdaleka, i dziurawie-
niem naszych namiotów, ale umyślili przekraść
się do środka obozu. Żeby to skutecznie, spę-
tali konia, i pędząc go przed sobą, sami cicha-
czem się do nas zbliżali. Już nie wiem, jaki
mógł być rachunek w podobnej strategii, ale
trafili na nocny nasz łańcuch, i na całą za-
sadzke. Piechota dała ognia; koń i sam prze-
wódca co szedł pierwszy za nim, zostali na miej-
scu, reszta zgrał zemknęła spiesźnie.

Nazajutrz po tém, rozbudził mnie prawdzi-
wy jarmark który się uformował niedaleko
od mego namiotu; — przedawano tam odzienie,
i wybórnią w srebro oprawną broń zabitego.

Nie tylu jednak ciekawych zebrała ta prze-
daż, ilu przed pierwszą linją namiotów, nęciła
odcięta głowa nocnego bohatera. Uczestniczą-
cy w zasadzce żołnierze, umyślili zrobić z niej
pośmiewisko; i śliczna, wybornie ogolona głów-
ka, której rysy twarzy prawdziwie arystokra-
tyczne, ociemniała pomarańczowa bródka, zo-
stała wbita na wysoką żerdź i wetknięta w zie-

mie. Dowiedzieliśmy się później, że zabity był starszyna jakiegoś Andyjskiego aulu. Cały ten dzień z daleka pokazywali się Górale, którzy lamentując, i krzycząc na całe gardło, upraszali swych jednowierców w obozie, żeby pochowali zabitego, obiecując za to nie napadać więcej w nocy. Ku wieczorowi, główka i tułów, zostały razem pogrzebane, i rzeczywiście, od tego czasu, spaliśmy w nocy zawsze najspokojniej.

Ale oto nastąpił dzień 6 (18) Lipca, i wraz ze wschodem słońca, cały nasz oddział wyruszył na Dargo.

Z początku, całą miłą, to pod górę, to z góry, szliśmy ciągle po szerokiej, bezleśnej i wybornie utorowanej drodze.

Nareszcie, z jednej góry ujrzelśmy las, za którym widać było ogromny dym palącego się Dargo;—usłyszeliśmy wystrzały z dział, i z ręcznej broni rozlegające się po lesie.

Ja byłem wtenczas w arier-gardzie, zupełnie swobodnej od wszelkich napadnięć. Wystrzały z jednej, i z drugiej strony, trwały prawie sześć godzin; a wieczorem już i moje działo toczyło się po lesie.

O drzewa! drzewa!—jakaż rozkosz spr-

wiają one, kiedy się ich długo nie widziało. Wyciągałem ramiona, chwytalem gałęzie tych rozłożystych lip, czynarów i dębów, a księżyc świecący jasno upiększał gęsto srebrzące się, szeleszczące ich liście. Kroczyliśmy powoli,—często siadałem na zwałonych stoletnich kłodach;—cudny las, podczas tej jasnej, ciepłej nocy, wprawiał mnie ciągle w zachwycenie.

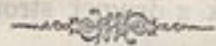
Już uszliśmy w lesie z ćwierć mili, i pierwsze ślady boju, któreśmy dostrzegli były zabite konie leżące po drodze; bo polegli wojownicy, jak z jednej, tak z drugiej strony, zostali już sprzątnięci.

Najwięcej krwi wylało się na zwałach, których z górą dwadzieścia liczono na pół-milowej przestrzeni. Nie w jednym miejscu, zawałona droga pniakami i kłodami, zupełnie krwią była zalana. Największe zaś zawały były w takich miejscach, gdzie przechód, już sam przez się był nadzwyczaj ciasnym, i leżał nad urwiskami. Tam piechota nie miała nawet miejsca, rozsypywać się w bokowe łańcuchy, ale od razu musiała szturmować zawały, i wtenczas ze wszech stron, sypał się ogień gwintówek. Górale byli za zwałami, za drzewami, i na-

wet na drzewach, między liśćmi,—wszędzie ich było pełno.

Takichto dwadzieścia i dwa zawałów, zdobyły męzne bataliony, idące na przodzie, które po szesnasto-godzinnym marszu, tegoż wieczora w Dargo stanęły.

Ja zaś, będąc na samym końcu rozciągniętej kolumny, dopiero nazajutrz, o dziesiątej zrana do Dargo zawitałem.



Wielki niebezpieczeństwo było podługem kole-
 swoje mieszkanie, na rozległym polu.
 zająca! Działają, rozciągają sprawy i kłopoty-
 niońców i innych kłopotów, stanowił kraj, na-
 jąc zastąpić panować nad tymi obywateli i zwy-
 ciał. Tam, jak konsul dawno, w
 wojnie i w pokoju, mając na
 zrow z wykształceniem i tożsamością z
 X

Otóż i Dargo! Piękna mi Stolica! Wy-
 szedłszy z lasu, spuściliśmy się po nad
 rzeczkę Aksaj, gdzie ciągnie się, prawie
 na ćwierć mili długa, zielona, nie ocie-
 niona drzewami dolina, otoczona zarosłe-
 mi wzgórzami, a miejscami i wyniosłemi
 drzewy. Na tej dolinie sterczało tu i owdzie
 rozrzuczonych drewnianych kilkadziesiąt chat,
 i dymły się szczątki domu Dszemila i jego ar-
 tyleryjского parku. Bliżej ku rzece, płynącej
 w głębokim, rozłożystym jarze, było jeszcze do
 trzydziestu ziemlanek. To mieszkania żołnie-
 rzy, już to dezertarów, już wziętych w niewolę;
 do nich przylegał ogród w którym rosły kartofle

i kapusta, warzywa nieznane, i nieuprawiane przez Górali. Otóż i wszystko, co stanowi Dargo!

W tej nieznaczącej dolinie, pod dębem, koło swego mieszkania, na rozeslanym kobiercu, zasiadał Dyktator, roztrząsał sprawy różnoplemiennych swych klanów, stanowił prawa, mające zastąpić panujący tam tylko obyczaj i zwyczaj. Tam, jak konsul dawnego Rzymu, na wojnie i w pokoju, mając zawsze przy sobie liktorów z wyostrzonymi topory, ścinał głowy jednych przestępców, a innych topił lub kamienował.

Gwałt, kradzież, użycie mocnych napojów, zdradę, związki z nieprzyjaciołmi, i niezachowanie ustaw Koranu, zawsze Dzemil śmiercią karał *); a za mniejsze przestępstwa, więzienie, karę pieniężną, lub bicie w pięty naznaczał. Kobiety za nieskromne odkrycie twarzy, lub nogi do połowy łytki, zawsze podlegały tej ostatniej karze.

Często za niemoralność dzieci, karał razem

*) Oprócz tego, Miurydzi bywają jeszcze karani śmiercią za palenie tytoniu i zażywanie tabaki.

i rodziców. Rozповідаją, że siedząc raz na wspomnianym kobiercu, kazał młodą jedną dziewczynę, za nierządne życie zdeptać nogami, matkę zaś jej zmuszał przypatrywać się tej exekucji; a kiedy córka wyzionęła ducha, wydał natychmiast wyrok i na matkę, którą w rzece utopiono.

W Dargo były dwa więzienia: jedno dla mężczyzn, drugie dla kobiet, i oba zawsze były napelnione, a to z powodu prawa wydanego dla rozwiedzionych, dla wdów i wdowców zostających jeszcze w kwiecie wieku, a nie chcących wstąpić w powtórne małżeństwo. Takie indywidua, oprócz zamknięcia, podlegały jeszcze i karze pieniężnej.

W podobnem więzieniu siedziała długi czas i świekra Dzemila, lecz później on sam się przekonał, że tylko jej szpetność (głośna w górach), była przyczyną, iż jej nikt nie chciał pojąć za żonę; dał jej więc pokój i wypuścił na wolność.

Lecz nie zawsze ścina głowy, więzi i morduje ten srogi Dyktator, często napada go skrucha, zamyka się w swym pokoju, przez kilka dni nie przyjmuje żadnego pokarmu, nie śpi, modli się, wpada w magnetyczne usposobienie,

i objawia, że rozmawiał z Mahometem, i Archaniołem Gabrielem. Wtedy wychodzi pod drzewo przed tłum zebranych ludzi, prawi im morały, mówi że wstydzi się za ich postępowanie, i według okoliczności, naznacza jałmużnę, posty, modły, lub walkę z niewiernymi.

Jedną razą w podobnem będąc usposobieniu oznajmił, że Mahomet kazał mu obić matkę za to, że się mieszała do spraw krajowych. Przywiązany syn, połowę jej winy sam przyjął na siebie, i kazał się bić w pięty, lecz drugą połowę, wyliczono jak najsumienniej w pięty matki.

Takimi to szarlatanstwami nie głupi ten człowiek zwodzi swe klany, i nabiera zwolenników fanatyków, co za jego osobą, i za Miurydyzm, zawsze są walczyć gotowi; lecz rzućmy ogólny rys na reformy i organizacje, które w podległych sobie ziemiach wprowadził.

Wielki Dyktator, piszący się teraz Imamem, Władcą Górąli, Księciem Dagestanu, i t. d. rozdzielił wszystkie swoje drużyny, klany i stowarzyszenia na piętnaście Naibstw.

W każdym z nich, naznaczony przez niego

Naib, (Namiestnik), jest Naczelnikiem siły zbrojnej, a razem Rządcą i główną osobą.

Oprócz Naiba, każdy klan ma jeszcze swego duchownego dygnitarza Kadego, do którego należy duchowna i sądowa władza.

Murtaza stanowi trzecią osobę Triumwiratu Naibstwa, ten czuwa nad Naibem i Kadym i donosi Dzemilowi o wszystkich nadużyciach; prawdziwy to Prokurator, sprawiający obowiązki Naiba w razie jego nieobecności.

Wyższej Instancyi żadnej nie ma. Naibów, Kadych, i Murtazów, zawsze mianuje sam Dzemil, w którym się jednoczy najwyższa wojskowa, duchowna i cywilna władza.

Mechanizm więc rządu wcale nie zawikłany, a równość stanów wybornie utrzymana, bo i Triumwiraty Naibstw, jeżeli przewinią, można zmienić i bić w pięty, ile się podoba. Niektórzy, formę tego Rządu, gruntując się na tem, że Dzemil jest głową duchowieństwa, błędnie nazywają Teokracją, — jabym to stosowniej nazwał Piętokracją, lub Piętowładztwem.

Siła zbrojna Górąli, urządzona jest w następujący sposób: w każdym Naibstwie jest trzystu Miurydów, a każdy z nich zawiaduje dziesięcią

dymami, z których, w razie potrzeby, staje pod chorągwie Naibstwa, dziesięciu zdolnych do boju. Jedwabne chorągwie Naibstw, różnią się między sobą tylko kolorami, na których wyszyte ogromnemi literami, różne wyrzeczenia Koranu.

Tak więc, według tego urzędnika, siła każdego Naibstwa liczyłaby 3,000 głów, a siła piętnastu takich Naibstw stanowiłaby 45,000; lecz się nigdy nie zdarza, żeby Górale w takich się *massach* zbierali. Różne są ku temu przeskody, najważniejszą zaś to, że każdy Góral zostaje pod bronią na własnym koszcie, i sam się nawet musi troszczyć o swoją żywność, bo Dzemil nie wiele o tem chce wiedzieć. Góral ska ta ruchawka, dzieli się na piesze i konne sotnie, dwusotnie, trzysotnie, cztery sotnie i pięć sotnie; każda z nich ma swego Dowódcę, którego zaraz można poznać po blasce, co ją nosi na piersiach. I tak dowódca sotni, ma na piersiach okrągłą srebrną blachę, wielkości dużego medala. Dowódca dwusotni ozdobiony jest równoległobokiem. Dowódca trzech sotni ma trójkąt, i t. d. Wszystkie te blachy mają jednako-
we następne arabskie napisy: z jednej strony

„*Licreszade*” (za meztwo), a z drugiej, strony, „*Ea ilahe illa Allah Muhammed ressul Allah*” (Nie ma Boga prócz Boga, a Mahomet Jego Posłannik). Sam napis blach dowodzi, że Dowódcy otrzymują je za odznaczenie się w bitwach; za tchórzostwo zaś naszywa się na plecach czerkieski czarna skurzana łatka, i biada temu kto ją dostanie. Góral noszący łatkę jest pogardzanym przez wszystkich, nikt z nim nie rozmawia, dzieci wyszydzają, a nawet żona nie sypia, i nie jada z nim razem. Łatkę tę można zdjąć wszakże, ale nie inaczej, jak tylko za dowód nadzwyczajnego meztwa.

Dzemil zamyslał o urzędzeniu kancelaryi do praw cywilnych i wojskowych, miał także zamiar urządzić wyższą szkołę dla Mullów, ale zdaje się, że to dotychczas nie przyszło do skutku.

W podwładnych jego Klanach, nie ma żadnych kodeksów, żadnych praw pisanych; rządzą się wprawdzie Szariatem, ale Dzemil ustnie wydaje postanowienia drugiego stopnia, i one to są prawdziwemi prawami Kaukaskich Górali. Panujący dawniej zwyczaj i obyczaj, zastąpiły ustne prawa, wymierzające karę za

każde przestępstwo. Zemsta krwi exystuje i teraz, ale już nie pokrzywdzony, nie syn, nie brat, ale sam Rząd karze śmiercią winowajcę. Zabójca odpowiada życiem, lub majątkiem, stosownie do żądania tego, kto za krew mścić się powinien. Skaleczony ma prawo odwetować tymże samym, ale już nie inaczej, jak w asystencyi Rządowej władzy.

Podatki (tak nazywany *Zakat*), urządzone są w następujący sposób: w każdym Naibstwie z pięciu dymów, Naib bierze dwie *saby* zboża wążące półtora puda, a bydła rogatego ze stu sztuk, dwie wybiera. Połowę tej daniny zostawia sobie, a drugą połowę odsyła Dzemilowi. Kady, z każdego dymu bierze jedną *sa* zboża, to jest siedem i pół funtów. Martazie także jakąś część naznaczono. Oprócz tego, bogaci dają także Dzemilowi *zakat* z pieniędzy, prawo nie naznacza ilości, ale uchylający się bierze ciężki grzech na siebie; bo Imam Kaukaski, który jest Panem sumienia, i urzędnikiem przyszłego wiecznego żywota swych podwładnych, często im wspomina, że kaźden uchylający się od wnoszenia podatków, nie trafi do Raju, i nie będzie oglądać, ani złotych, ani zielonych, ani niebieskich Hurysek.

Do Dzemila należy także piąta część wojennych zdobyczy (*Komus*), i inny jeszcze dochód, nazwany *Bajhumal*, pochodzący z konfiskaty majątków indywidualnych skazanych na śmierć, lub zbiegłych do Rossyi. Z tych to dochodów, Imam daje zapomogę Mogadziłom *) i wspiera prawdziwie potrzebujących.

Dzemil nie lubi żadnych przepychów, sam dosyć skromne i wstrzemięzliwe prowadzi życie, a nawet przesładuje bogatych marnotrawców i rozrzutników.

Dzemil ma dwie żony, jedna z nich Góralka a druga Ormianka, — ta ostatnia została Renegatką, i ma być bardzo piękną; jest to branka z jakichś napadów, jeszcze w latach jego młodości.

Syna swego Kazi-Mahometa, Dzemil ożenił z córką Sultana Ziem Elissu **), i ostatniemi czasy, już go zaprawia w wojacze, zawierając mu całe oddziały, z czego wnieść można,

*) Mogadził, tak nazywają Mahometadzkich emigrantów z krain podległych Rossyi.

***) Sultana Ziem Elissu, rządził wprzód swym kraikiem, i był Jeneralem Rossyjskiej służby; w roku 1844 przyjął Miurdyzm, przeszedł do Dzemila i został Naibem.

ze ma nawet pretensje dynastyczne; — lecz wróćmy do obozu.

Tegoż samego dnia, to jest 7 (19) Lipca, w parę godzin po przybyciu do Dargo, uczestniczyłem w rekonesansie, mającym na celu spalenie pobliskich futorów, i przepędzenie Dzemila z zajętej przez niego tuż za Aksajem pozycyi.

Zaraz po południu, kawalerja, pięć bataljonów piechoty i sześć górnych dział z Dargo wystąpiły. Za ledwie wyciągnął się nasz oddział w kierunku ku rzece, Górale koło swych dwóch namiotów rozbitych na wzgórzu skupili się w większe bandy, i zaczęli do nas artyleryjski ogień.

Spuściliśmy się ku rzece, i przeszliśmy ją wbród; jak tylko zaczęliśmy wchodzić na wzgórze, pokryte krzakami i drzewami, Góral-ska piechota, flegmatycznie rejterując się utrzymywała ciągle wyborny ogień.

Śród ciągłych strzelań, i odstrzeliwań się, ciągleśmy pälili porozrzucane po drodze nie wielkie futory, składające się najczęściej z drewnianej chaty, i szopy, koło których zieleniało dość podrosłe proso, i sterczały całe zagony wysokiej kukuruzy.

Idąc ciągle eszelonami, i torując sobie drogę kartaczami, już zrobiliśmy z ćwierć mili, kiedyśmy doszli do meczetu, stojącego nad drogą, za którym śród gdzieniegdzie rozrzuconych drzew, ciągnął się cały łań kukuruzy, a za nim tu i owdzie, widać było dachy niewielkich szop chat i obór.

Piękny i obszerny meczet, z ciemnego ciosanego kamienia, upiększony od frontu różnemi rzniętymi deseniami i arabeskami, ze swej powierzchni mógł już liczyć lat ze sto, i był zupełnie w stylu arabskim. Tuż koło niego, był niezem nieogrodzony cmentarz, składający się z kilkunastu wysokich, od czasu poczerńiałych słupków, przebitych włóczniami obwitemi białemi chustami. Żadnych innych nagrobków tam nie było; wypadło więc wnosić, że tylko zabici na wojnie, mogli być pochowani koło tego meczetu.

Już nie wiem, czy to przypadkiem, czy może umyślnie, ktoś z żołnierzy podpałił tę Mahometańską świątynię, — ogień wkradł się we wnątrz, zajęła się kopuła, i kamienne płyty z hukiem i trzaskiem, zaczęły się rozwalać, śród ogromnego dymu.

Pięknąsmy muzykę wtenczas usłyszeli! Górale jakby w jeden głos, dziwacznie, przeraźliwie krzyknęli, i piesi i konni, ze wszech stron rzucili się na nas z'obnażonemi szaszkami, kindzałami i różnokolorowemi chorągwiemi,—które już nie majaczyły przed nami, ale się rozwiewały nad głowami przemierzanych walczących Miurydów i Ruskich żołnierzy.

Długo—długo się ciągnął bój zajadły, nim kartacze artyleryi i rżęsiście wystrzały ręcznej broni, wśród dławiącego dymu i kurzawy, zdołały dalej naprzód utorować sobie drogę.

W tej to potrzebie, kiedy się dym zaczął na strony rozwiewać, pokazano mi Dzemila, któremu się długo i przez perspektywę, i nieuzbrojonym okiem przypatrywałem.

Imam w białym zawoju, z rudą brodą, w zwyczajnej czerkiesie obwieszanej bronią, na siwym koniu, stał dość blisko, prawie nieruchomie. I ja, i wszyscy koło mnie od razu mogliśmy go poznać po tych nawiasowych gestach Dowódcy, i po tém uszanowaniu, z jakim się do niego zbliżali—zapewne dla otrzymania rozkazów—w białych zawojach Miurydzi...

Za tę ognistą utarczkę, której tu ledwie kontur, do szkiców nakreslony, Czytelnika uniżony sługa, po sześćcio-letniej służbie, awansował na oficera artyleryi polowej.

Zrobiliśmy jeszcze z pół mili, paląc po drodze wszystko, co się nadarzało; a później, kiedyśmy szli nazad do Dargo, Górale tak zajadłe na końcowy batalion nacierali, że często trzeba było kartaczami go wyrećzać, i aż w parę godzin po zachodzie słońca, ale zawsze tegoż samego dnia, i zwycięzko do obozów wrócili.

Dobrze to czasem z biedy i wojować, kiedy człowiek nie głodny, i kiedy się wyśpi należy; i jednemu i drugiem byliśmy dotąd zadowoleni, ale mijał wiek złoty, bo fortuna, nie tylko w pokoju, ale i na wojnie ciągle się kołem toczy.

Dnia 10 (22) i 11 (23) Lipca, ostatni transport żywności, wyprawiony z fortecy Śgo Eugeniusza, po wiadomej drodze wagenburgów, doszedł aż do tego lasu, w którym przednia, straż zdobyła dwadzieścia z górą zawałów.

Na spotkanie tego transportu, wysłano z Dargo kilka batalionów z kilką działami, i wszystko to nie wiele pomogło.

Górale stoczyli krwawy bój na temże samém miejscu, większa połowa koni, na których wieziono żywność i ładunki bojowe, została na zawałach, a wysłane bataliony, zamiast sucharów, przyniosły ranionych; nie zostawiając ich na pastwę Górali.

Po tej katastrofie, 13 (25) Lipca, spaliliśmy, skoro świtać zaczęło, namioty całego naszego obozu, żeby przez to oswobodzić juczne konie, dla pomieszczenia na nich ranionych, i wyruszyliśmy z Dargo, nie rejterując się nazad, ale dążąc naprzód przez Iczkerję do fortecy nazwanej Gerzel-Aul.

Pierwszego dnia naszego marszu, kiedyśmy już miejscami natrafiali na większe lasy, i gdzie-niegdzie drogi się rozchodziły w różne strony, byliśmy w położeniu daleko gorszem, niż żeglarze na morzu. Żeglarze mają geograficzne mappy, mają igłę magnesową, my zaś tak sobie omackiem wędrowaliśmy po tej Iczkerji, która nie tylko że nie znajduje się na żadnej mappie, ale której prócz nicociosanych krajowców, nikt dotąd nie widział.

Przednia i tylna straż, ciągle się odstrzeliwały, wszędzie pełno było Górali, ciągle do

nás dających ognia z dział i ręcznej broni, my zaś robiliśmy swoje i szliśmy naprzód.

Ta prawdziwa *terra incognita*, dostarczała nam jednak korzyści, nie tylko we względzie strategicznym, ale nawet i naukowym; bo nie dość, że topografowie ciągle zdejmowali plany, ale nawet i odległość jak najstaranniej była wymierzana. Pierwszy nasz nocleg był koło aulu Conteri.

Dnia 14 (26) Lipca. Las był jeszcze gęstszy, znużenie jeszcze większe, w dzień głodno, a w nocy spać nie dają. Górale stosownie do miejscowości, już to z dział, już z ręcznej broni strzelają. W nocy biwakowaliśmy koło aulu Issa-Jurt.

Dnia 15 (27) Lipca. To już nie las, ale ogromna puszcza. Po drodze mnóstwo zawałów. Przednia straż ciągle w zatargach; straż tylna, ani chwili nie ma spokojnej; środek oddziału, składający się z jucznych ciężarów, i z ranionych, wiezionych na koniach, również napastowany.

Po drodze leżało mnóstwo zabitych żołnierzy i Miurydów, jeden z tych ostatnich, zadziwiał wszystkich przechodzących. Był to ol-

brzymi Góral, zupełnie nagi, a całe jego ciało brązowego koloru, wysmarowane było jakąś tłustością.

Żołnierze rozpowiadali, że ten gladjator wyskoczył z lasu zupełnie nagi, uzbrojony tylko dwoma kindżałami, i sam jeden, zrobił wielkie zamieszanie między pociągami.

Gladjator zabijał konie i prowadzących je żołnierzy, zdejmował juki, które rzucał w urwisko, miano go w rękę dwa razy, ale się wysliznął, poległ od czterech kul, które podziurawiły mu piersi.

Długo się przypatrywałem temu olbrzymowi, przypominającemu zupełnie Bröbdignagów z podróży Gulliwera. Już późno w nocy zdążyliśmy do pustego aulu Allerój.

Dnia 16 (28) Lipca. Takież las, takież zawały, i takież bój na całej linii oddziału.

W tym dniu byłem na samym przodzie, to jest za pierwszym batalionem przedniej straży.

Po zdobyciu zawałów; po przejściu większego lasu, w południe, wydobywaliśmy się na niewielką polanę, zasadzoną zółciejącą kukuruzą. Z prawej strony, za tą polaną, był głęboki jar, nad którym i za którym, wznosiły się

czynary, lipy i dęby, z slicznymi rozłożystemi konary, i gęstymi liśćmi.

Pierwszy batalion już zupełnie wyszedł z lasu, z małego pagórka wtoczył się na polanę, i został osypany gradem kul.

Pierwszy batalion, sądząc że ma zawały do wzięcia, pobiegł naprzód, żeby się rzucić na bagnety; lecz zawałów nie było, i żołnierze przebiegłszy polanę, po drodze weszli na tuż leżące, lesiste wzgórze żeby zająć pozycję.

Moje działo, dążące wślad za batalionem, już miało wejść na polanę, gdy w tym momencie również było osypane gradem kul. Oba konie górnego działu, idące jeden za drugim *), były zabite na miejscu, również jak i kanonierowie, co je prowadzili; dostrzegliśmy tylko dym, między liśćmi drzew, nad jarem, i za jarem.

*) Uprząż górnych dziesięcio-funtowych dział, inną jest zupełnie niż połowych. Górne działo ciągną dwa konie, osiodlane jucznymi siodłami, idące jeden za drugim, trzeci koń od działu, również osiodłany, prowadzony jest za jucznymi kiesionami. Jeżeli droga tak jest wązka, że działo nie może przejść, wtenczas je rozbierają i kładą na juki. Na pierwszego konia kładzie się samo działo, na drugiego lawet, a na trzeciego dwa koła.

W tej alternacji jedno tylko zostawało do zrobienia, odprzodkowaliśmy działa, postawiliśmy je na pagórku, z którego tylko cośmy się chcieli spuścić i osypywaliśmy kartaczami drzewa, na których zasiały niewidome ptaszki—Górale.

Upłynęło nie więcej, jak kwadrans czasu, a w naszym plutonie było ogromne zniszczenie, oficera mieliśmy ranionego, artylerzyści koło dwóch dział, leżeli zabici lub ciężko ranieni.

Koło pierwszego działa, ja tylko jeden zostałem, a koło drugiego stał jeszcze bombardjer, i jeden młodszy kanonier. Mnóstwo oficerów wysłanych, żeby się dowiedzieć o przyczynie zatrzymania się całego oddziału, poległo tuż na miejscu, za zbliżeniem się do owych dział.

Nabojów już nie było w kiesionach, wszystkie były wystrzelane.

Kilku kanonierów od juczych kiesionów, w różnych pozycjach leżało zabitych lub ciężko ranionych, równie jak i konie, które i po śmierci niektórzy zabici tuż za nami w rękę trzymali. Wszystko było w wielkim nieładzie

Dawały się słyszeć krzyki, żeby następne dwa działa wydobyły się z lasu, i nasze miejsce zajęły; krzyczano również, żeby Saperzy szli naprzód.

Z ręk zabitego leżącego kanoniera, wziąłem zapalony lontownik, wetknąłem go w ziemię, i mocno zmęczony, położyłem się koło działa. Nie mając nic lepszego do roboty, zacząłem się lepiej wpatrywać w te drzewa, z których co chwila mogłem być kulą ugodzony. Rzecz była widoczna, że ztamtąd strzelają, bo ciągle się pokazywał niewielki dym z panewek, które się rozścielał między gestami zielonemi liśćmi, ale postaci ludzkich w żaden sposób nie można było dostrzedz. Dziwne te leżkieryńskie drzewa, chyba w poezjach wschodu, można znaleźć coś do nich podobnego..... Gdy tak rozmyślałem, usłyszałem za sobą następne słowa:

— Uszy do góry, i lont na pogotowiu, — nie od rzeczy powiedziawszy — no jakże się miewamy?

— Jak się masz Walenty, — powiedziałem, — a cóż, czyś zdrow, cały?

— Ale cały, pozawczoraj otrzymałem plej-

zyr w lewe ramie, ale to nie, wczoraj, i dzisiaj jest gorzej.

— Coż, znowu zostałeś ranionym?

— Ale nie, tylko nareszcie przekonałem się, że nigdy w życiu nie byłem w takiej tarapacie, nie od rzeczy powiedziawszy—nieby to nie znaczyło, ale to źle, że mam przecucie.

— Jakież to przecucie?

— Nie szczególne, bo takie że nie wyjdę z Iezkierji.

— Co tam prorokujesz, Bógu to tylko wiadomo, ale lepiej zejdz z tego miejsca.

— Zaraz pójde dalej, bo to każą iść naprzód, mam tylko kilka słów do powiedzenia.

Walenty zamyslił się, położył się koło mnie, i milczał prawie całą minutę, później tak się znowu odezwał.

— Mówilem panu kiedyś, że mam dwa tysiące złotych, złożonych w Tyflisie u księdza, a rewers na nie chowa się u płatnika, mówiłem już o tem i Gołębioskiemu z naszej kompanji. Otóż chciałbym, żeby ta sumka jemu się dostała po mojej śmierci.

— Dajżeż mi pokój z twoim testamentem.

— Chciałbym, żeby się dostała Gołębioskiemu, z jednym tylko warunkiem, wcale dla niego nie uciążliwym. Nie od rzeczy powiedziawszy, chciałbym żeby się ożenił z moją chrześną córką Józją, bo to od dawna do siebie wdychają. Przypominasz pan sobie, tę wysoką blondynkę z niebieskimi oczyma, pan ją znasz trochę, a przynajmniej widziałeś, kiedy jedną razą przynosiła obiad swemu ojcu, zostającemu w tym dniu na służbie w koszarach. Pamiętam nawet, powiedziałeś pan o niej, że nie tylko z twarzy, ale nawet z ruchu, poznać można, że musi być z nad Wisły, lub z nad Wilji. Otóż to ta sama Józja. Piękna to będzie para tych prawdziwych gołąbków. Chciałbym, żeby za te dwa tysiące kupili domek, i żeby sobie żyli jak Pan Bóg przykazał. Chciałbym jeszcze, kiedy pan wrócisz do Kraju..... Walentemu kręciły się łzy w oczach, odwrócił się odemnie, i nic więcej nie mówił.

— Co ci jest kochany Walenty!—zawołałem.

Walenty milczał.

Sądząc że mu się źle zrobiło, przysuwam się, patrząc; dostrzegam kulę która tylko co ugo-

działa go w prawe skronie!! Nie dosłyszałem nawet tego wystrzału, bo i z jednej i z drugiej strony ciągle strzelano. Podniosłem go, krew się polala, — zawołałem na żołnierzy, żeby z nim odnieść go na stronę i opatrzyć ranę, — ale Walenty już nie żył!! — Bez jęku, bez drgnienia nawet, w lezkiej jak przeczuwał, zakończył swe życie, ten dziwnie poczciwy wojak!

Przyszły inne cztery działa, poczęły rzesisty ogień; drugi z porządku batalion wtoczył się na polanę, zamiast koni piechota pociągnęła działa mego plutonu, i złączyliśmy się na wzgórzu z pierwszym batalionem.

W pół-godziny później, musiano ptaszków wystrzelać, — bo i cały oddział ruszył naprzód.

Zrobiliśmy jeszcze prawie ćwierć mili, i przed zachodem słońca stanęliśmy w ogromnym aule Szauchał-Berdy, — rozrzucenym na spadzistości wzgórza, otoczonego zewsząd lasami.

Tuż za aulem, płynął w głębokich urwiskach znajomy nam Aksaj, a za nim widniał nowy Góralski oddział, już oczekujący na nasze przybycie. Zapewne jakiś Naib, nie uczestniczący jeszcze z swym klanem w ruchawce, wywiózł na nasze spotkanie, swe chorągwie i działa.

17 (29) Lipca. Po szczęśliwej nocy w której mogliśmy trochę zasnąć, — weszło słońce, przetarliśmy oczy, i usłyszeliśmy na dzieńdobry, pękające koło nas granaty (smaczne owoce), puszczone na nas z trzech dział z za Aksaja.

Granaty ciągle pękały koło nas, my zaś nie odpowiadaliśmy, bo prochu nie stało. Oddział nasz nie rusza się z miejsca; rozpatrzmy więc lepiej miejscowość.

Bagatela! — Przed nami w lesie, na drodze, takie zawały, że przy zupełnem znużeniu naszego oddziału, już i myśleć nie można o ich zdobyciu. Z jednego wzgórza, nie tylko przez lunetę, ale i nieuzbrojonym okiem, łatwo je było zauważyć.

Książę-Namiestnik i w tej krytycznej katastrofie umiał się wybornie rozporządzić. Przyszedszy do Szauchał-Berdy, w nocy wysłał cichaczem rozkazy do fortecy Groźnej, zalecające żeby cztery bataliony piechoty i sześć dział, jak najzwawiej wystąpiły do Szauchał-Berdy.

Sześciu Azjatów, zostających przy Sztapie, i znających dobrze język miejscowy, podjęło się załatwienia tego ważnego ale niebezpiecznego polecenia.

Rozkazy były wydane na trzech małych karteczkach, ale żeby Azjaci nie zdradzili, rozdzielono ich na trzy pary; każdej parze wręczono karteczkę, i dodano jednego żołnierza, przebranego po Góralisku. Tak więc po trzech, trzema różnemi manowcami, wśród otaczających nas ze wsząd nieprzyjaciół, wysłani mieli się przebieć do pożądanej fortecy.

Rozumie się, że ten fortel był wtenczas w sekrecie, a w obozie rozpuszczono pogłoskę, że Książę oczekuje na oddział, którego według marszrutu, powinien przybyć do nas nazajutrz.

Dnia 18 (30) Lipca. Cały oddział w oczekiwaniu. Granaty ciągle między nami pękają, szczęśliwym trafem, prawie nie szkodzą ludziom, zabijają tylko mnóstwo koni. W południe głód przemógł zupełnie, i w obozie, na ogniskach zaszypiały kociołki—z żylastą, sinowatą koniną.

Dnia 19 (31) Lipca. O siódmej z rana, w oddziale, idącym z Groźnej, już dawały się słyszeć wystrzały z dział, o ósmej wystrzały były bardzo dobitne, o dziewiątej, usłyszeliśmy wystrzały z ręcznej broni; o dziesiątej, zobaczyliśmy Górali zmykających z lasu, z zawałów,

i przeprawiających się za rzekę; a trochę później, już widać było dążący ku nam oddział.

W naszym obozie prawdziwy *alarm* radości, i wtenczas już nie żalując ostatnich nabojów, silną kanonadą odpowiadaliśmy na wystrzały z za rzeki. Obóz nasz ruszył się z miejsca, i przednia straż, w przeciągu całych trzech godzin, oczyszczała przygotowane dla nas zawały. Droga tak była zawałona, że z początku nawet piechota w żaden sposób przejść nie mogła.

Łatwo sobie wyobrazić, co by z nami było, gdyby przyszło te zawały pod ogniem nieprzyjacielskim szturmować.

Wieczorem byliśmy już w rzadszym lesie, i rozłożyliśmy się obozem koło uroczyska Mi-skitu.

Dnia 20 Lipca (1 Sierpnia). Las coraz rzadszy, Górale prześladować nas coraz mniej energii okazują.

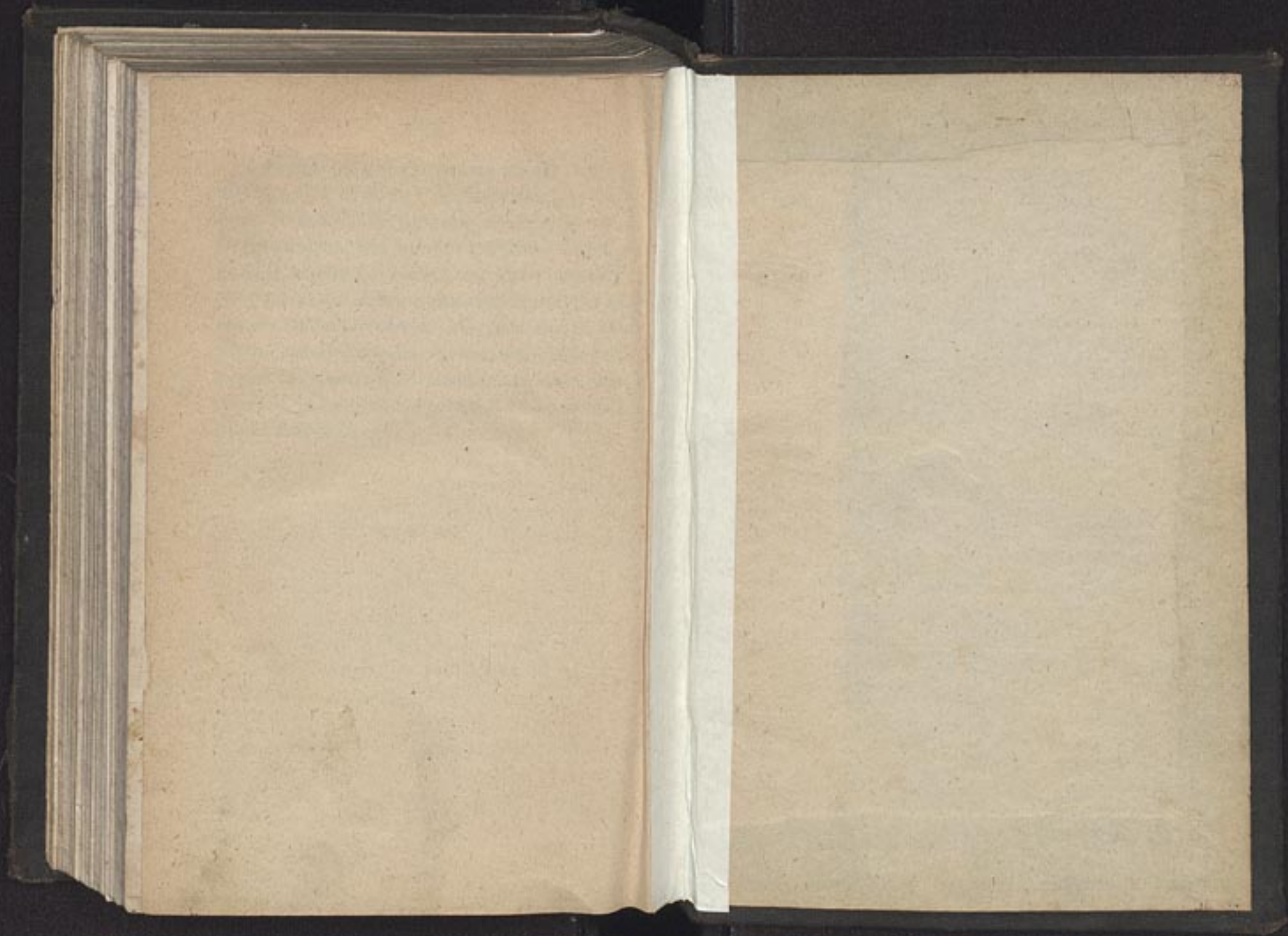
W południe odpoczywaliśmy już na równiejszem miejscu, gęsto pokrytym krzakami.

Później krzaki były coraz rzadsze i Górale już się nie pokazywali; weszliśmy na Kumyjską płaszczynę, zupełnie pustą i równą, i przed nami stanęła forteca Gerzei-Aul.

O godzinie piątej zbliżaliśmy się do fortecy, salutującej i dymiącej ze wszystkich swych dział. Książę-Namiestnik na przodzie, z całym swym sztabem, tuż za nim półkowa muzyka, grająca rześistego marsza, za którą maszerowały piesze bataliony i plutony artyleryi, a na samym końcu kawalerja. Wszyscy się podrównali, radość ożywiła wynędzniałe fizjognomije, i ani sposób było poznać, że to ci sami co przed godziną tak wyglądali, jakby wracali z pól Elizejskich.

KONIEC







314468

1-2